Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 29 listopada 1936 r. Nr. 48

ANDRZEJKI

Jest taki jeden wieczór na pozór codzienny,
Za oknem mrok się szary powoli rozsnuwa —
W bezlistnych drzewach gwiżdże wiatr jesienny,
A na schmurzonem niebie krągły księżyc mruga!

W białym dworku z modrzewia ukrytym gdzieś w lasach,
Pełnym starych portretów, antycznych zegarów,
W wieczór taki jak dzisiaj, w dawnych, dobrych czasach
Czekano na godzinę cudnych wróżb i czarów.

Ponad ogniem płonącym na wzór wajdelotek
Jasnowłose dziewczątka chylą się w zachwycie
I z podwiązki, skradzionej starej pannie ciotce,
Z wianku mirtu, obrączki, wróżą sobie skrycie.

Żółty, wrzący jak w ogniu roztopione złoto,
Leje się wosk na białą misę z porcelany
I zastyga powoli, w czyjże symbol? co to?
Ach, to chyba jest tylko rycerz kochany.

Wosk zastygł, w gruzach białe dworki legły,
Ponad światem runęła wojny zawierucha,
Pobudowano domy z żelaza i cegły —
I dziś już więcej nikt bajek nie słucha...

Maria Naturska.



WOJCIECH HOLM

9)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Suknia ta w rzeczywistości była z niebieskiej materii wełnianej po 25 centów mtr. i elegancka Janka byłaby się wstydziła ubrać się w coś podobnego.

Domyślała się też, jak musiała wyglądać suknia pani Meyerowej, ale była o tyle chytra, że się z tem nie zdradzała.

— Szkoda, żem nie widziała — rzekła obłudnie — oto właśnie drzwi — jeśli wolno prosić.

— Moja przyjaciółka, panna Mala Herz, a to pani Meyerowa — przedstawiała Janka.

Mala skłoniła się uprzejmie.

Prosiła panie, żeby siadły, mówiąc, że jej bardzo przyjemnie mieć je u siebie.

— Pani chce być tak dobrą i kupić moje suknie? — pytała Mali.

— Tak jest, może mi pani je pokazać — rzekła łaskawie pani Meyerowa — wprawdzie mam dość sukien, ale jeżeli będą jakieś szczególnie ładne, to mogę kupić. Chwała Bogu stać mnie na to.

Mala pospiesznie rozkładała suknie przed gośćmi.

— Ach, ta czerwona flanela ze złotymi brzegami i chwastami jest prześliczna — wołała Zuzia Meyer.

— To baron Szturmfeder kupił jej na wycieczkę w góry — objaśniała Janka.

— Baron Szturmfeder obcuje z panią? żywo zapytała Zuzia z ogromnem zajęciem.

— Obcował — zapewniała Janka — wiedz pani, że od kiedy tak się wzbogacił, nie troszczy się o Malę. A jemu to naprawdę krewni nie mogli zrobić większej przysługi, niż tem, że pomarli.

— A którzy jego krewni pomarli? — spytała ciekawie Zuzia.

— Obaj hrabiowie Wildensteinowie — odpowiedziała Janka.

— To nie może być — zawołała Zuzanna — stary być może, dawno już chorował, ale nasz młody hrabia był zdrów jak ryba.

— Pani znała ich? — spytały równocześnie obie przyjaciółki.

— Czy ich znam? — rzekła Zuzia — przecież dość długo byłam...

Urwała zaambarasowana.

O mało co nie powiedziała, że była kucharką w Königswalden.

Byłaby się zdradziła.

— Byłam przez pewien czas w tamtej okolicy — rzekła, opamiętawszy się.

— Jak daleko z Königswalden do zamku hrabiego Dornbrucha — spytała Mala z płonącemi oczyma.

— Blisko dwie godziny. Czy pani tam ma znajomych, panno Malo?

— Tak, moja siostra jest garderobianą u hrabianki Dornbruch. Chciałabym ją odwiedzić, ale na to trzeba mi pieniędzy.

Do tego czerwonego kostiumu flanelowego należy jeszcze czerwony kapelusz, ze złotymi kwiatami. Czy mogę pani pomóc włożyć ten kostium?



Słynna angielska tancerka na lodzie Megan Teylor, występująca obecnie w pałacu sportowym w Berlinie, ma wiele szans zostania następczynią znanej Sonii Henie.

Pani Zuzanna, która jeszcze niedawno chodziła boso, pozwoliła łaskawie pomóc sobie przy ubieraniu.

W kostiumie wyglądała czarująco. Nie mogła oczu oderwać od lustra.

— Ile mam pani za to zapłacić, panno Malo? — spytała wreszcie.

— Kosztowało wszystko razem 180 reńskich, sprzedam zaś za 50.

— Tyle pani nie mogę dać — targowała się pani Zuzanna — to już noszone. Znoszone rzeczy nie mają żadnej wartości. Ale żeby pani wiedziała, że chcę kupić, więc daję pani 30 reńskich.

— To za mało — odpowiedziała Mala.

Janka szturknęła ją pokryjomu, dając jej do zrozumienia, żeby wzięła lepiej tyle, niż nic.

— Przynajmniej 40 — mówiła głośno.

Ale Zuzia nie postępowała w cenie. Miała już tylko 30 reńskich a bała się znowu męża prosić o pieniądze.

Wogóle Meyer w ostatnich dniach był zły i opryskliwy, że uważała za stosowne nie drażnić go.

Po długim targu Mali zgodziła się dać kostium za 30 reńskich.

Gdy już wypłaciła pieniądze, Mali z westchnieniem zapakowała kostium i obie panie poszły do domu.

Jeszcze tego samego dnia Mala sprzedała resztę sukien jakiejś szansonetce i zostawiła sobie tylko te skromne sukienki, które nosiła jako modystka.

Doznała ulgi pozbywszy się strojów okupionych tak drogo.

Szybko spakowała swoje manatki, dała je Jance do schowania, zapłaciła jeszcze za pół miesiąca mieszkanie i wyjechała z Wiednia nocą.

Siedząc w kącie wagonu namyślała się, co powiedzieć Egonowi, jakim sposobem wzruszyć go znowu i odzyskać jego miłość.

Gdy nad ranem przybyła do ostatniej stacji, serce jej ciężyło, jakby było z ołowiu.

Pytała o najbliższą drogę do Königswalden i nie patrząc na piękną okolicę, poszła we wskazanym kierunku.

Im bliżej była celu, tem bardziej odczuwała jakąś trwogę.

Nareszcie ukazały się jej oczom imponujące mury zamczyska.

Drżąc, weszła przez bramę i szła na górę po szerokich schodach.

Uważała się za natręta, którego wszyscy mogą wyrzucić.

Patrzyła trwożnie na drzwi, czy nie ukaże się lokaj i nie wzbroni jej wejścia.

Ale nikt nie wychodził.

Weszła więc i minęła cały szereg elegancko umeblowanych sal nie spotkawszy nikogo.

Drżącą ręką otworzyła znowu jakieś pięknie rzeźbione drzwi i weszła.

Była w sali jadalnej.

Stół nakryty był na jedną osobę z komfortem, a Egon w niedbałej pozycji jadł śniadanie.

Za krzesłem stał lokaj, czekający jego rozkazów.

Egon zobaczył Malę w lustrze.

Filiżanka zadrżała mu w ręku.

Podskoczył i dużemi oczyma wpatrzył się w kochankę.

— Wyjdź — zawołał na służącego. Lokaj usłuchał i wyszedł.

Gdy się za nim drzwi zamknęły, baron błyszczącemi oczyma spojrzał na Malę.

— Co to ma znaczyć? — syknął przez zęby — jak śmiesz tu przychodzić? Widział cię kto? Mówiłaś z kim? Czego tu chcesz?

Wszystkie te pytania, rzucane jedno po drugiem, obsypywały biedną dziewczynę.

— Czego ja chcę? — rzekła z wyrzutem — i ty możesz pytać o to? Chcę tego, co mi się należy!

— Słuchaj moje dziecko — zawołał groźnie Egon — takie jak ty, nie mają prawa żadnego! Wy deptacie same prawo i moralność. Żyjecie tylko dla chwili. To też używanie przez chwilę musi wam wszystko wynagrodzić, co przychodzi po tem. My ze sobą nie mamy już nic wspólnego.

Mala oniemiała na chwilę ze zgrozy. Potem jęknęła trwożnie:

— Egonie, to nie może być, żebyś ty tak mówił! Ty mi przysiągłeś, że mnie nigdy nie opuścisz!

— To się tylko tak mówi! Ty sama temu nie wierzysz — zawołał baron brutalnie. — Myślałem, że jesteś rozsądniejszą.

Lecz żeby tę sprawę raz skończyć, wyprowadzę cię tylną ścieżką, mało uczęszczaną przez park. Ten raz daruję ci jeszcze twą śmiałość. Gdybyś jednak znowu wpadła na ten nieszczęśliwy

pomysł, napadać mnie tu w zamku, każę cię wyszczuć psami i dam znać policji wiedeńskiej, aby miała oko na ciebie.

Sądzę, że dotychczas chyba nie jesteś w policji zapisana jako taka...

Okrutne te słowa uderzyły Malę w serce, jak cięcie zadawane nożem.

— Byłam uczciwą dziewczyną nim ciebie poznałam — zawołała drżącemi ustami — czem jestem teraz, to tobie mam do zawdzięczenia.

Egon śmiał się na te słowa brutalnie.

— A to pyszne! — zawołał — na to Amerykanie mają pyszne przysłowie, powiedzieć ci?

Zbliżył się do niej i szepnął jej coś.

Dziki jęk wyrwał się z piersi nieszczęśliwej dziewczyny.

Egon z zimną krwią mówił dalej:

— Wiesz zatem, moja ładna dziewczyno, czego się możesz ode mnie spodziewać. Pamiętaj więc, na przyszłość strzeż się. Teraz wyprowadzę cię tylnemi drogami z zamku, żeby moja dobra sława na tem nie ucierpiała.

Chciał ją wziąć za rękę, lecz Mala odepchnęła go ze złością.

— Precz — krzyknęła — bo cię zamorduję. Tyś mnie unieszczęśliwił! Przez ciebie Herman i ja zeszliśmy na psy. Przeklinam cię! Oszukałeś mnie i uwiodłeś. Namówiłeś mnie do niewierności wobec mego kochanka.

Twoja dostojna żona pomści to na tobie. Ona ciebie będzie oszukiwać i zdradzać na każdym kroku. Ty będziesz wiedział o tem, a nie będziesz mógł nic zrobić na to. Znamię hańby będzie ciężyć na tobie i zatruwać ci każdą chwilę, aż sam sobie zrobisz marny koniec. A gdy w rozpaczy zechcesz sobie palnąć w łeb, wtedy ujrzysz mego bladego upiora, który ci przeraźliwie zawoła:

„Przeklęty bądź, przeklęty na wieki!"

Jeszcze jedno spojrzenie pełne nienawiści i żądzy zemsty rzuciła mu i znikła bez śladu.

ROZDZIAŁ XXVII

Mnie nikt nie może pomóc

Sylwia była już blisko domu.

Już była niedaleko leśniczówki.

Już wyobrażała sobie radość obopólną z powitania i serce biło jej mocno na myśl o tem.

Mimowoli przyspieszyła kroku.

Rumieniła się ze zmęczenia i radości, oczy nabrały blasku.

Pluto cieszył się także.

Skakał koło niej i wył z radości. Nagle jednak przystanął cicho, podniósł pysk do góry i zaczął wietrzyć.

Potem mocno szczekając, skoczył między gęste krzaki.

Sylwia, zdziwiona, poszła za nim.

Z ogromnem współczuciem zobaczyła tam na mchem i liśćmi pokrytej ziemi, jakąś kobietę, konwulsyjnie płaczącą.

Twarz zakryła rękoma, a przez palce, białej, zgrabnej ręki, spływały łzy.

— Czego pani płacze? — spytała Sylwia, litując się nad nią. — Może pani pomóc?

— Mnie nikt nie może pomódz — odpowiedziała kobieta.

— Niech się pani przynajmniej podzieli ze mną swoim smutkiem — rzekła Sylwia, siadając obok niej na ziemi i ujmując ją za rękę. — Ja mam że wielkie zmartwienie, więc będę mogła pojąć ból pani. Bardzo dobrze też pani zrobi, jeżeli pani mi się zwierzy z wszystkiego.



W Turcji również młode dziewczęta przechodzą kurs przeszkolenia wojskowego.

Mala — gdyż ona to była — opuściła ręce i spojrzała na tę, która ją pocieszała, zrazu niechętnie, potem ze wzrastającą sympatią.

— Powiem pani — rzekła — ale proszę mną nie pogardzać, bo do niedawna jeszcze byłam tak czystą i dobrą, jak pani.

Nie owijając niczego w bawełnę, opowiedziała jej cały stosunek do Egona, jak pięknie się zaczął i jak brutalnie Egon go zerwał.

— Chciałam skoczyć w wodę — rzekła — ale samobójców chowają gdzieś w polu, nie na poświęcanej ziemi — tego się strasznie boję. Muszę czekać, aż się zlituje nade mną śmierć i mnie sama weźmie. Długo to nie potrwa, tylko nie mogę pojąć, jak to jest możliwe, że ja tak marnie zginę, a Egon będzie żył szczęśliwie — to mi się w głowie pomieścić nie może. Ja najnieszczęśliwsza na całym świecie, a on, który mnie unieszczęśliwił, będzie spał na różach. — Nie ma sprawiedliwości na świecie, jeżeli jemu to ujdzie bezkarnie.

— O nie ujdzie — zapewniała Sylwia — nadejdzie kiedyś dzień zapłaty.

— Tymczasem dostał w spadku po hrabiu Wildensteinie książęcy majątek — mówiła Mala — a ja nie mam z czego żyć. Z tych milionów, które mu spadły jak z nieba, dla mnie nie miał ani centa. Chciałabym, żeby mu ten cały majątek, jak woda przepłynął między palcami.

— I to stać się może — rzekła Sylwia. — Na razie nie ma dowodów na to, że hrabia Werner nie żyje. W żadnej z tutejszych przepaści zwłok jego nie znaleziono.

— Skąd pani wie o tem? — spytała Mala ciekawie.

— Bo przeszukałam całą okolicę wszeż i wzdłuż na każdej cząstce.

— Więc pani kocha hrabiego Wernera? — spytała Mala.

— Więcej niż życie swoje — zawołała Sylwia — z całej duszy.

— Aby zaufania pani nie zwiedziono równie srodze jak moje — rzekła oszukana dziewczyna.

Potem spytała żywo:

— Czy hrabia Werner Wildenstein miał nieprzyjaciela?

— Nie — odpowiedziała Sylwia — wszyscy go kochali.

— A może kto miałby jakąś korzyść ze śmierci hrabiego? — pytała dalej Mala.

— Tylko baron Szturmfeder, zresztą nikt — rzekła Sylwia zamyślona.

— O! to niech pani bardzo uważa na barona — zawołała Mala — kto tak haniebnie i brutalnie postąpił sobie z bezbronną dziewczyną, ten może być zdolny do morderstwa z chciwości.

Sylwia słysząc to, zbladła.

— A może ta dziewczyna ma rację — pomyślała.

Może w rzeczywistości, gdy ona tu całem sercem chwyta się każdego, choćby najdrobniejszego promyka nadziei, on padł już ofiarą morderstwa, może już jej najdroższego ziemia kryje i robactwo gryzie?

Niema jej rozpacz, chwyciła nieszczęśliwą Malę za serce.

Wszystkie jej słowa i pocieszania pozostawały bez skutku.

— Pewności! Wielki Boże, daj mi pewność — szeptała Sylwia.

— Pewność osiągnąć nie trudno — pocieszała ją Mala. — Dlaczego naprzykład nie wyznaczono nagrodę za wynalezienie trupa hrabiego? U nas w oficynach mieszka biedna praczka, której syn utonął.

Nigdzie nie znaleziono jego ciała. I widzi pani, chociaż to była kobiecina biedna, jak mysz kościelna, wyznaczyła przecież dziesięć guldenów nagrody za wyszukanie zwłok syna. Jeżeli nawet hrabiego zamordowano i morderca zakopał jego zwłoki, to teraz nadzieja wynagrodzenia skłoniłaby go do wykopania ich i zgłoszenia się z niemi.

— Pani ma rację — rzekła na to Sylwia. — Bardzo pani dziękuję. Wyświadczyła mi pani wielką przysługę, gdybym pani mogła kiedy w czem pomóc, cieszyłabym się bardzo. Pani od-

wiedzi że mną moich rodziców. Naprzód muszę iść do zamku, aby barona nakłonić, żeby się zgodził na propozycję, którą pani zrobiła, ale wrócę zaraz. Jeżeli pani poczeka na mnie, będzie mi bardzo przyjemnie.

— Dziękuję pani — odpowiedziała Mala nieśmiało — ja teraz nie mogę iść między wesołych ludzi. Pójdę do mojej siostry, która tu w pobliżu jest w zajęciu, potem gdzieś w obcem mieście poszukam sobie jakie zajęcie. Panią zaś poważnie przestrzegam przed baronem, niech pani nie pije nic z jego ręki, niech pani nic nie je u niego, żadnej perfumy, wogóle nic niech pani od niego nie przyjmuje. Przysięgam pani bowiem, że wszystko, co pochodzi z jego ręki, dla młodej, niewinnej dziewczyny jest niebezpieczne. Pani nie byłaby pierwszą, która padła ofiarą jego chytrości. — Niech się pani ma na baczności.

Stała przed nią wyprostowana i przestrzegając, podniosła rękę.

Zimny dreszcz wstrząsnął smukłem ciałem pięknej Sylwii.

Spuściła oczy.

— Żegnam panią — szepnęła Mala — niech panią Bóg strzeże.

Gałęzie trzeszczały pod stopami odchodzącej.

Sylwia spojrzała przed siebie, ale Mali już nie zobaczyła.

— Teraz idę do barona — rzekła stanowczo — chodź Pluto.

Szybkim krokiem zbliżała się do zamku. Jak ją tam przyjmą?

ROZDZIAŁ XXVIII.

Nocne zjawisko

Zachodzące słońce zamku oblewało szczyty żółto-złotym blaskiem.

Raz jeszcze zabłysnęły w wspaniałym oświetleniu wierzchołki drzew na szczytach gór.

Nagie skały i zielone łąki na przełęczach poiły jeszcze rosę ostatkami odbijającego się na nich światła, potem mrok spuszczał się na stolicę i gęsta mgła, podnosząca się z głębi wąwozów, zakrywała powoli cały łańcuch gór.

Nie troszcząc się o zapadającą ciemność, szedł gościńcem samotny wędrowiec.

Bez natężenia wspinał się w górę i stawał chwilami nie dla odpoczynku, lecz by ogarnąć wzrokiem coraz rozleglejszy widok.

Jego ubiór wskazywał na to, że był to człowiek do wyższych sfer należący.

Lekki ubiór letni był elegancki i z dobrej materii sporządzony, chociaż w podróży trochę sprószony i pomięty.

Na plecach miał mały tornister, w którym były najpotrzebniejsze do podróży przybory, a na tasiemce u boku wisiała mu srebrna flaszeczka.

Wygląd jego harmonizował się najzupełniej z ubraniem.

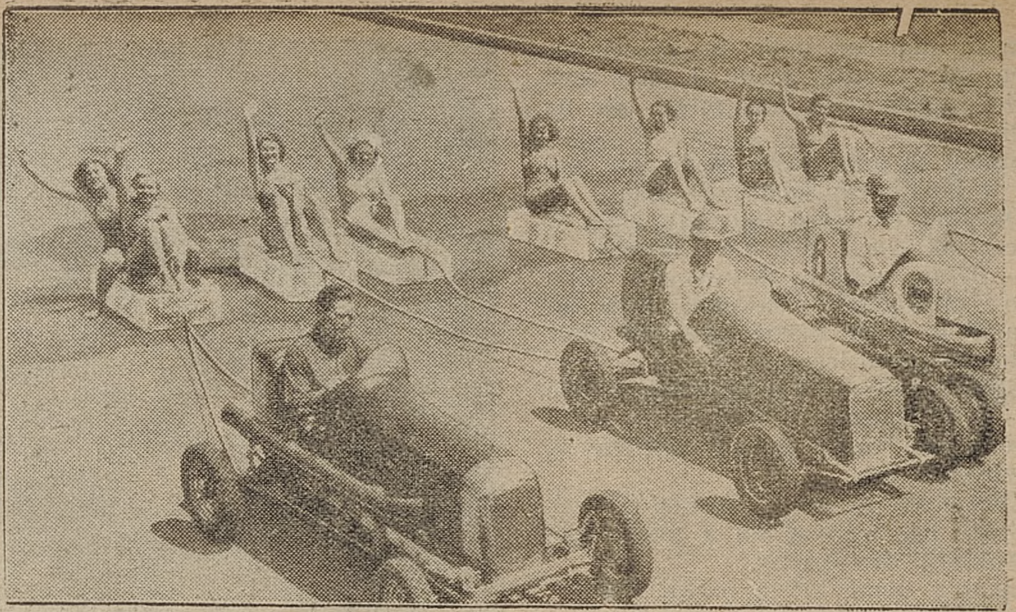
Mógł mieć lat 24, może 25, a postać tryskała zdrowiem i gibkością.

Rysy jego ładne, cera opalona, czoło tylko, gdy odchylił kapelusz, było białe.

Przesuwał nieraz palcami po bujnych włosach.

Mały wąsik, ciemne oczy, to filuternie uśmiechnięte, to rozmarzone nadawały mu wiele wyrazu.

Był to Leon Waldau.



W poszukiwaniu za nowymi możliwościami użycia zabaw wpadły piękne Kalifornijki na taki pomysł: siadają na bloku lodowym, który ciągnie maleńkie auto na plaży. Zdjęcie nasze przedstawia młode girlsy podróżujące tym oryginalnym sposobem.

Mimo wszystkich zalet, nie był on szczęśliwy.

Będąc dzieckiem stracił rodziców.

Nie mając krewnych, wychował się w publicznym zakładzie z dochodów szczupłego majątku.

W dzieciństwie i w wieku młodocianym nie zaznał niczyjej miłości.

Idąc za przykładem swego ojca, który był wysokim, bardzo zasłużonym urzędnikiem, obrał studia prawnicze.

Dochody jego majątku nie starczyły na to, aby go utrzymać na uniwersytecie.

Naruszył więc kapitalik, który w wesołym życiu akademickiem prędko się rozpłynął.

Młody człowiek używał przyjemności wielkomiejskich, nie popadając jednak wcale w zepsucie wielkomiejskie.

Nie mając ojcowskiej ręki, któraby go prowadziła, zaniedbał się trochę w studiach.

Wyszumiał jednak prędko i opamiętał się, widząc, że jego kapitał prawie całkiem już się wyczerpał.

Spoważniał więc nagle i postanowił pilnie poświęcić się znowu studiom.

Ale ponieważ właśnie ferie akademickie się rozpoczęły, postanowił odbyć wycieczkę w góry ojczyste, by się pokrzepić i nabrać sił do pracy.

Właśnie spotkaliśmy go na tej wycieczce.

Widząc, że się ściemnia, przyśpieszył kroku, tym bardziej, że okna jakiegoś domu, jasno oświetlone, błyszczały z dala gościnnem światłem.

Zbliżywszy się, usłyszał tony gitary i przeraźliwe śpiewy.

Musiał to być jakiś szynk lub karczma.

Otworzywszy niskie drzwi, zobaczył w dużej izbie, służącej za kuchnię i izbę szynkowną, pełną dymu kuchennego i cygarowego, licznie zebranych gości.

Gajowi, chłopi i turyści siedzieli przy białych stołach i rozmawiali, popijając piwo, paląc cygara, papierosy i fajki.

Między nimi siedziały harfinistki o wyglądzie wcale nie pociągającym i od czasu do czasu uderzały w struny harf, śpiewając zużytym głosem stare jakieś pieśni, lub modne kuplety.

Potem zbierały za tę wątpliwej wartości produkcję artystyczną zapłatę, biorąc od gości po groszu, albo z ich szklanek popijając piwo.

Kelnerka usługiwała gości i z pośpiechem usiłowała nadążyć równoczesnym niemal, a różnorodnym żądaniom gości.

Gospodarz zbierał próżne szklanki, by je napełniać na nowo.

Waldau uczuł wstręt do tej dusznej szynkownej atmosfery i do tych dzikich gwarów i nie mógł się zdobyć na to, by przestąpić próg i wejść.

Zawołał kucharkę i spytał, czy może dostać osobny pokój.

— Zajęty — odpowiedziała prędko i pobiegła, by dalej usługiwać gościom.

Niezadowolony poszedł Leon dalej.

Widział sam, że tyle tam było gości, że trudno było o jeszcze jedno miejsce.

Nie chciał zresztą wcale w tym brudnym lokalu spędzić noc w najlepszym razie na drewnianej ławie.

Na łóżka dla wszystkich, ani nawet na słomiane posłanie dla nich nie starczyłoby tam, ponieważ ich było za wiele.

Postanowił więc wracać tą samą drogą aż do samotnego domku, który widział był przedtem idąc tamtędy.

Przypuszczał, że tam dadzą mu nocleg.

Tymczasem zaczął padać drobniutki deszczyk.

Wnet jego cienkie ubranie przemokło do nitki.

Lecz on nie zważał na to.

Chociaż za chwilę, gdy deszcz zaczął padać coraz większy, a droga stawała się coraz bardziej błotnista, zaczął żałować, że nie został tam w tej brudnej izbie szynkownej.

Ciemność tak była śliska, że mógł iść tylko bardzo pomału i wreszcie po pewnym czasie zobaczył, że zabłądził i zeszedł z drogi.

Nie miał pojęcia, gdzie się właściwie znajduje.

Rozglądał się wprawdzie dookoła, ale że było ciemno, więc prawie na nic mu się to nie przydało.

Skonstatował tylko, że karczmy tej, w której był niedawno, także już z tego miejsca, w którym stał, teraz nie widać.

Wiedział, że zabłądził, ale się tem nie martwił.

— Już ją gdzieś znajdę jakiś dach nad głową — pocieszał się, idąc naprzód wśród deszczu.

Ale szedł dobrą godzinę i już czuł się zmęczony, gdy wtem zobaczył z dala światło.

Zrazu myślał, że błądził wkoło, i że znowu zbliża się do tej samej karczmy. Ale wnet zobaczył, że to całkiem inny budynek.

Zapukał do drzwi i nie otrzymawszy odpowiedzi, chciał zaglądnąć do wnętrzą przez szparę w okiennicy.

Nim jednak zamiar ten wykonał, otworzyło się drugie okno i głos jakiś kobiecy zapytał:

— Kto tam?

— Zmęczony podróżny, proszący o nocleg — odpowiedział Leon.

— Karczma jest tam wyżej — odpowiedziała kobieta szorstko i już chciała zamknąć znowu okno, ale Leon zawołał prędko:

— Właśnie stamtąd wracam. Pełno tam tak, że nawet szpilka się nie zmieści. Jeżeli mnie pani nie wpuści, będę musiał nocować pod gołem niebem, a tu deszcz leje jak z cebra. Psa by nie wypędził w takie powietrze.

Kobieta szeptem porozumiewała się z kimś w pokoju.

Leon słyszał jak wychodzi z pokoju.

Za chwilę milcząc otworzyła drzwi spóźnionemu gościowi.

Było to nie uprzejmie, ale Leon wszedł.

W małej sieni zobaczył starszą kobietę z lampą.

Ze zdumieniem zauważył, że to nie była chłopka, lecz kobieta ubrana po miejsku.

Musiała być kiedyś ładna.

Spojrzała na przybysza i zobaczywszy w nim młodego pięknego mężczyznę zachmurzyła się.

Z gburowatym milczeniem szła naprzód.

Gdy Leon wszedł do pokoju, zastał tam starszego mężczyznę, który na jego uprzejme powitanie odpowiedział nieśmiało.

Kobieta postawiła lampę na stole i usiadła ignorując gościa zupełnie.

Starzec zaś patrzał na nią niespokojnie i widać było w jego spojrzeniu jakby trwożne zapytania.

Gdy widział, że ona zupełnie jest zajęta swą robotą, a gość skromnie siedzi pod piecem, zwrócił się do niej półgłosem:

— Adelajdo, ten pan pewnie jeszcze nie jadł kolacji.

Adelajda spojrzała pytająco na gościa, ale twarz jej miała wyraz równie mało uprzejmy, jak przedtem.

— Byłbym pani wdzięczny za małą przekąskę — rzekł Leon — i jestem gotów dobrze za to zapłacić.

— Mówiłam panu już, że nie mamy karczmy — rzekła na to kobieta dość szorstko, ale wstała, aby uczynić zadość jego życzeniu.

Leon rozglądał się po pokoju.

Nie był urządzony tak, jak to w tej okolicy było zwyczajem.

Nie było tam olbrzymiego łóżka pod baldachimem, które zwykle u chłopów miejscowych służyło za wspólne łoże ani pstrego pieca kaflowego, ani kredensu napełnionego najrozmaitszym naczyniem.



Najradośniejszy sen małej na kilka tygodni przed Gwiazdką...

Urządzenie to, które zobaczył tutaj było wprawdzie staromodne, ale wielkomiejskie i nawet gustowne.

Meble jasne, takież firanki i portiery nawet obrazy były na ścianach.

Wszystko razem bardzo miłe.

Nigdzie nie było widać tego zamiłowania tutejszych chłopów do jaskrawych sprzeczności barw.

Kanapa była ciemną materią obciągnięta, obrazy miały ciemne ramy, a nawet w ubraniu obydwojga mieszkańców nie było nic jasnego, ani bijącego w oczy.

W zupełnej harmonii z tym było zachowanie się ich, niczem nieprzypominające rubaszną serdeczność poczciwych włościan, ale ceremonialne ze strony staruszka, a odpychające ze strony Adelajdy.

Mówili też nie tym narzeczem, jakiem zwykle mówią włościanie, ale językiem salonowym i książkowym.

Podczas, gdy Leon zastanawiał się nad tym, gospodyni zaaranżowała przekąskę wcale gustownie.

Zaścieliła stół białą, bardzo gustowną serwetą, postawiła chleb domowy, masło, ser i dzbanek mleka.

— Czem chata bogata — rzekł starzec uprzejmie, podczas gdy Adelajda siadła znowu do roboty — proszę, niech pan pozwoli.

Leon usłuchał chętnie i z apetytem zajadał niewyszukane potrawy.

Podczas biesiady próbował rozpocząć rozmowę z gospodarzem, by się czegoś dowiedzieć i wybadać go, ale ten odpowiadał mu tak mało, że zamiar Leona był daremny i dlatego zaprzestał rozmowy.

Zaledwie Leon głód zaspokoił, ruszyła kobieta ze swego miejsca, podniosła swoje szycie i starannie stół sprzątnęła. Potem położyła na staromodną kanapę poduszkę i wełnianą kapę i zwracając się do swego gościa rzekła rozkazująco:

— Gdy pan będzie zmęczony, niech się pan położy; bo pan musi jutro wcześnie wstać. Rano pójdziemy na pole, będzie więc pan musiał mój dom opuścić!

Waldau został sam, a chociaż go to wszystko bardzo dziwiło, przecież nie był w usposobieniu, aby obserwacje robić, bo był tak znużony, że znużenie przemogło wszystkie inne uczucia.

Wyciągnął się na swojem improwizowanym łożu i usnął wkrótce.

Leon nie wiedział jak długo mógł spać, gdy w stanie półsennym zobaczył jasność rozlewającą się nad jego łóżkiem.

Zaspany otwierał i przymykał powieki i zdziwiony zauważył nareszcie, że nad nim pochyla się jakaś cudowna twarz dziewczęcia.

W tej samej chwili świeca zgasła i w grubej ciemności Leon nie widział nic.

Nadsłuchiwał wprawdzie, ale nie słyszał ani drzwi przymykających się, ani kroków, sądził więc, że to był sen, obrócił się do ściany znowu.

Rażące promienie wschodzącego słońca zbudziły go z twardego snu.

Zrazu nie wiedział jeszcze gdzie jest, potem dopiero wspomnienie poprzedniego dnia wyjaśniło mu sytuację.

W tejże samej chwili przypomniał sobie zjawisko nocne i ujrzał młodą osobę, cudowną dziewczynę, w białej skromnej sukni, jak twarz czarująco piękną pochyliła nad nim i wpatrywała się w niego z jakimś strachem i równocześnie z ciekawością.

Namyślał się jakby chciał się przekonać o tym, co to właściwie było, gdy wtem zapukała Adelajda do drzwi wołając:

Śniadanie gotowe.

Leon zerwał się z łóżka, umył się w przygotowanej miednicy i namyślał się, jakim sposobem uzyskać raz jeszcze wstęp do tego domu; wyjął z kieszeni kosztowny scyzoryk i położył go w kącie na ziemi, układając sobie, że wróci po ten niby zapomniany scyzoryk.

Powtórne pukanie do drzwi nagliło go do pospiechu.

Wyszedł więc i przed domem zastał stół czysto nakryty do śniadania, ale tylko dla niego.

Przy stole stała gospodyni, ale na jego uprzejmy ukłon odpowiedziała bardzo chłodno.

Na jego pytanie, czy oni nie będą z nim jedli śniadania odpowiedziała, że oni śniadanie już jedli dawno i teraz czekają chwili, w której mogliby z nim odejść w pole.

Leon siadł więc do śniadania, a ona robiąc robotę ręczną patrzyła na niego od czasu do czasu niespokojnie.

Do męża powiedziała krótko: Ty możesz iść naprzód, Marcinie. Marcin poszedł też ukłoniwszy się wprzód Leonowi.

Ledwie Leon wziął do ust ostatni kęs, Adelajda wstała i rzekła zadowolona:

— No, nikt mi nie może zarzucić niegościnności, ale teraz niech pan już idzie.

— Niechże pani przynajmniej pozwoli — rzekł Leon, zdziwiony tym nieceremonialnem obejściem się — żebym pani podziękował i zapłacił.

Wyciągnął portmonetkę nie bardzo już pełną i popatrzył wzrokiem pytającym.

— Ależ nie potrzeba — rzekła Adelajda z lekceważeniem — schowaj pan to.

Głos jej brzmiał tak rozkazująco, że on nic jej nie mówiąc, ukłonił się i poszedł.

Widział jeszcze jak pozbierała skrzętnie ze stołu, zaniosła do domu i wyszła zamknąwszy drzwi na klucz.

Zamykanie domu nie było zwyczajem w tamtych okolicach. Więc Leon zdziwił się bardzo i usiadł jeszcze na kamieniu, patrząc na dom z tem przekonaniem, że tam jest jakaś tajemnica ukryta.

Dom był mały, ale miał duże, wiele światła dające okna.

Białe ściany oplecione były bluszczem, przed domem była altana, z drugiej strony jakieś zabudowania jakby stajenne, a naprzeciwko mur, ale wcale wysoki, porosły bluszczem i dzikiem winem, bardzo bujnie rozkwitniętym.

Przypuszczał, że ten mur okalał jakiś ogród i znowu zdziwiło go to, że jest mur, a nie jak to był zwyczaj w okolicy, sztachety.

Znowu popatrzył ciekawie na dom, ale nic nie wskazywało na to, żeby tam była jeszcze jakaś żyjąca osoba.

Wstał i wydawszy głośny okrzyk turystów, poszedł dalej w góry.

ROZDZIAŁ XXIX.

Opowiadania Kaśki

Poranne powietrze i piękny widok roztaczający się przed oczyma, oświetlona słońcem okolica, wszystko to odwróciło uwagę Leona od minionych rzeczy.

Postanowił dostać się na najwyższy szczyt, aby objąć okiem całą okolicę i ochoczo wstępował na stromą ścieżkę.



W okresie przedświątecznym, w wytwórniach ozdób choinkowych, wre gorączkowa praca. Oto pracownice wytwórni nadające tęczowe barwy kulom choinkowym.

Rosa poranna perliła się na roślinach, tęczowymi blaskami i cudowna flora górska coraz wspanialej roztaczała się przed oczyma wędrowca.

Miłośnik natury, jakim był Leon, zachwycał się tymi pięknościami.

Najdrobniejsza rzecz nie uszła jego uwadze.

W tem usłyszał głos dziewczęcy, śpiewający piosnkę ludową.

Skierował więc swe kroki w tamtą stronę i zobaczył młodą i ładną pasterkę w malowniczym stroju, pasącą krowy.

Ona zauważywszy go, urwała zakłopotana i spojrzała nań ciekawie.

— Dzień dobry, piękna pasterko — zawołał, zbliżając się do niej.

— Czy można usiąć na kamieniu? — spytał następnie.

— Czemu nie — odparła pasterka — kamienie som dla każdego.

— Ależ to ładnie u ciebie — rzekł — jesteś jak królewna w swojem państwie. Siedzisz na tronie, tu masz swoje berło (wskazał na jej batog) a tu są twoi poddani (palcem wskazał na krowy, które pasła).

— Ale też to pan żartobliwy — rzekła dziewczyna, — wolałabym ja ci być prawdziwom królowom, z berłem i koronom i szaty mieć jedwabiste.

— A cóżby na to powiedział twój kochanek, gdybyś była taką wielką panią? — dodał Leon żartem.

— Kiej nie mam żadnego — odparła młoda dziewczyna.

— Taka ładna dziewczyna jak ty, żeby nie miała kochanka.

Pasterka śmiała się wesoło i długo a Leon namyślał się tymczasem, jakby sprowadzić rozmowę na dom, w którym nocował.

— A teraz pokaż piękna Maryś, gdzie ty mieszkasz — rzekł.

— Maryś? — śmiała się dziewczyna — to nie ja, ja nazywam się Kaśka.

— A gdzie mieszkasz? — spytał jeszcze raz.

— A o to tam — rzekła dziewczyna, wskazując biczem na dom jakiś stojący w dali.

— Tam? — spytał Leon, wskazując umyślnie na dom, w którym nocował.

— Ale gdzie ta — zawołała Kasia — tam siedzą Fellhubery.

— Fellhubery? — podchwycił skwapliwie Leon — a to co za jedni?

— E, — to byłoby dużo gadania — powiedziała Kaśka, spędzając krowy, które się zanadto rozbiegły od stada.

— Ano, to pogawędźmy sobie trochę — zachęcał Leon.

Strasznie lubię słuchać historyjek, a ty chyba Kasiu, także lubisz opowiadać, co?

— A juści — odpowiedziała dziewczyna, ośmielona jego zachowaniem.

— Widzi pan, może będzie temu osiem latek, ja byłam jeszcze taki mały robak, gdy pewnego dnia psysli tu do nas jacyś ludzie, w miejskim byli przyodziewku, mówili jakości po pańsku i tam w karcmisku se zamieszkiwali. Mieli ze sobom ośmioletniom dziewcynkę i mówili, ze to ich dziecko, ale jak jom chowali, jak jakom księznickę.

Kazdy myślał, ze oni to zwycajni letnicy, aliście minęło ledwie nie duzo, parę dni, jak kupili właśnie po Macieju, ta ze wgózn, a Maciej sam gdzieści wyjechał do Hameryki.

I prose ją pana, zaraz odprawili het parobka i dziewkę i sami do roboty się wzięli.

Śmieliśmy się, ze miescuchy bedom robić koło bydła i pola i jesceśmy patsyli, jak im chudoba wymze i ugór wyjałowieje, ale nie. Ten Marcin i Adelajda jak się wzięli do roboty, tak se wsystko sami az do zniwa porobili.

Dopierusieńko, na samusieńkie zniwa to se psecie musieli wziońć se kogoś do pomocy.

Leona zaciekawiło ogromnie to opowiadanie o gospodarstwie.

— No, a dziecko? — zawołał — cóż się z niem stało?

— Właśnie cała komedia z tem dzieckiem. Już w karcmisku, z nikim mu nie wolno było gadać. Adelajda pilnowała dziecko, ze az strach, a gdy się potem sprowadzili oni tam na górę, to juz potem nikt tej dziewcyny nie widział.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

9)

Niebezpieczny Gość

Powieść

Zdzisław mimowoli przeniósł wzrok na Jankę.

— O, widzę, że pan już odgadł — zaśmiała się filuternie dziewczyna. — Bo co do mnie, to doskonale mogę obejść się bez męskiego towarzystwa. Chcecie państwo się przekonać?

I nie czekając odpowiedzi, powstała szybko i odeszła do stołu, pozostawiając Jankę i Zdzisława samych. Wzięła gazetę i wznet zatopiła się w czytaniu.

Zdzisław śmiał się w duchu.

— Czy pan zastanawiał się jeszcze nad tem, kto mógł być autorem anonimu? — zapytała go Janka.

— Pani jeszcze o tem ciągle myśli?

— Tak, panie Zdzichu. Przecież przyrzekłam panu swoją pomoc w pracy nad ujawnieniem oszczercy. Ponawiam więc pytanie.

Zawahał się.

— Który anonim pani ma na myśli? — zapytał po chwili zastanowienia.

— Jakto! Który?... Nie rozumiem pana... Mówi pan, jakby było ich więcej.

— Dwa tylko.

— Dwa?! Ja nic nie wiem o drugim.

— Pani nie może wiedzieć, bo oprócz mnie i tego, który go napisał, nikt nie wie. Dopiero dziś rano go otrzymałem.

— Pan otrzymał?... Czy być może?

— I tak jak pierwszy, zawiera podłe oszczerstwa, lecz tym razem, widocznie dla odmiany, uwłaczające pani.

Janka zerwała się z krzesła. Opamiętała się jednak szybko. Usiadła z powrotem i, siląc się na spokój, zapytała:

— Ma pan ten list przy sobie?... Pan mi go pokaże, prawda?

— Nie warto, panno Janeczko. Lepiej będzie, gdy pani nie pozna jego treści.

— Nie, nie — zaprzeczyła Janka. — Nie jestem już dzieckiem. Przecież wiem, że to oszczerstwa — pan także. Mam dość siły, aby znieść bez żadnej szkody dla zdrowia, nawet największe obelgi.

— Ja jednak radbym oszczędzić pani niepotrzebnych wzruszeń.

— Ja muszę to przeczytać — przerwała mu pospiesznie. — Pan rozumie, że dla naszej sprawy będzie o wiele korzystniej, gdy jasno poznamy jakie nam grozi niebezpieczeństwo.

Cóż miał robić? Spojrzał na jej ściągnięte brewki i ustąpił. Wyjął list z zanadrza.

Dziewczyna pochwyciła go z pospiechem, zdradzającym silne zdenerwowanie.

— Na Boga! — szepnął Zdzisław. — Niech pani nie przejmuje się jego treścią. Mogłaby pani zdradzić się wykrzyknikiem i obecni tutaj mogliby domyślić się wszystkiego. A ojczulek pani nie może wiedzieć o niczym. Rozumie mnie pani?...

Gorączkowo przebiegała pismo oczyma. Kiedy skończyła czytać, twarzyczka jej była pokryta ciemnym rumieńcem wzburzenia.

— „Gość"?... To ten sam — rzekła cichym, drżącym głosem. — O, ubrał mnie w mało pochlebne szaty. Przyznać jednak mu trzeba, że jest doskonałym mistrzem w fabrykowaniu oszczerczych anonimów.

Młodzieniec uścisnął jej rękę.

— Gdybym mógł wykryć tego łotra! Odpłaciłbym za siebie i za panią... Tylko niech pani nie bierze sobie do serca tego anonimu.

Janka zaśmiała się nerwowo, a jej głos drżał tajonym wzruszeniem.

— Ten człowiek... ten nasz „gość" — rzekła — mógłby być bardzo niebezpiecznym, gdybyśmy uwierzyli w jego głupie oszczerstwa. Działa bardzo przebiegle i sprawnie. Tym razem przerachował się jednak. Nie przewidział tego, że my... jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, że mamy do siebie pełne zaufanie i, że porozumiemy się tak szybko. Ach, jak to dobrze, że wiemy, iż to są oszczerstwa. Gdybyśmy nie mieli do siebie pełnego zaufania, to anonimy te wywarłyby skutek, po myśli autora... Nie pojmuję tylko, że w niektórych ludziach może być aż tyle złego. Czy „on" świadom tego, ile nam mógłby sprawić cierpień?...

Zastanowiła się.

— Nie mogę jeszcze zrozumieć w jakim celu oczernia nas ten... ten „Gość" — dodała po chwili.

— Ja wiem, a raczej domyślam się.

— Powie mi pan?

— Nie, panno Janeczko. Teraz nie jeszcze. Może za parę dni dopiero. Teraz powiem pani tylko, że autorem anonimów jest prawdopodobnie mężczyzna i to młody mężczyzna.

— Musimy koniecznie ujawnić go, panie Zdzichu. Wspólnie nad tem będziemy pracowali, dobrze?

Nie zważając na obecnych, pochylił się do jej ręki i przyłożył do niej gorące usta.

Nie widział jednak, że scenę tę objął wzrok jednego z mężczyzn, który szybko potem zasłonił się gazetą.

Pan Krański skończył wreszcie czytać i poprosił wszystkich do salonu.

Janka nie brała udziału w interesującej rozmowie, jaka wywiązała się przy stole. Siadła sobie w rogu salonu. Tulczyński przysiadł się do niej.

— Dlaczego pani taka smutna? — zapytał cicho. — Ja nie mogę patrzeć, gdy ktoś jest smutny. Czy on powiedział pani co przykrego?

Janka podniosła na niego zdumione oczy.

— Kto?...

— Pan Doniecki. Prowadził z panią w jadalni ożywioną rozmowę. Obserwowałem państwo trochę. Dał on pani do przeczytania jakiś list, który musiał być straszny w treści.

— Wcale nie taki straszny.

— Zauważyłem jednak, że sprawił na pani silne wrażenie. Pani była wzruszona, płoniła się i bladła na przemiany...

Dziewczyna zaśmiała się swobodnie.

— Źle pan widział, panie Tulczyński. W każdym razie dziękuję panu za... troskliwość.

Wyciągnęła doń rękę. Literat uścisnął ją tak silnie, że o mało nie krzyknęła.

Tulczyński znalazł się znów w otoczeniu pana Krańskiego. Przyłączył się do ogólnej rozmowy, jaka toczyła się w tem kółku. Był bardzo ożywiony i bardzo wesoły. Dziwiło to Irenę, która jednak nie miała czasu zastanawiać się nad przyczyną tak korzystnej zmiany w usposobieniu zawsze poważnego i suchego literata, gdyż wejście lokaja zwróciło myśli wszystkich w innym kierunku.

— Jakiś pan pragnie widzieć się z panem Donieckim — zaanonsował Franciszek.

Zdzisław powstał z fotelu.

— Ze mną?

— Tak. Powiada, że jest pańskim kolegą.

— Ach, to Kazimierz — zawołał Zdzisław. I dodał: — Kazimierz Szperacki, dziennikarz i mój kolega z ławy szkolnej. Bawi tu także na wywczasach.

— Czy panowie macie między sobą do omówienia jakie osobiste sprawy? — zapytał pan Krański. Nie... W takim razie poproś tego pana tu, do salonu — zwrócił się do Franciszka.

Lokaj wyszedł.

— Pozwoli pan, że i my poznamy pańskiego kolegę — rzekł potem do Zdzisława pan Krański.

Uradowany młodzieniec pospieszył podziękować w imieniu przyjaciela.

Młody dziennikarz znał już nieco wszystkich mieszkańców willi „Aurory“, lecz tylko z objaśnień Zdzisława. Przyjaciele spotkali się wczorajszego wieczora w ustronnem miejscu nad jeziorem i rozmawiali tam długo.

Kazimierz winszował i poniekąd zazdrościł Zdzisławowi, że zdołał pozyskać miłość pięknego dziewczęcia, przyczem zachwycał się wspaniałymi liniami postaci Ireny. Kiedy się dowiedział, że Irena Żałowska jest tylko kuzynką miłowanej przez Zdzisława dziewczyny, ożywił się bardziej jeszcze. Począł wypytywać się o różne szczegóły, dotyczące mieszkańców willi „Aurory“ i wreszcie przyznał się szczerze, że zainteresował się bardzo „piękną czarnulką.“

— Zapoznaj mnie z nią — prosił Zdzisława.

— Zakochałeś się w niej?

— Nie, nie. Ale to jest mój typ. Rozerwię się trochę w jej towarzystwie. Tym więcej, że nie cierpię roztrzepanych i kapryśnych panienek z letniska.

Uradzili wreszcie, że Kazimierz przybędzie do willi w odwiedziny do Zdzisława, a ten będzie się starał zapoznać go z panem Krańskim i przedewszystkiem z panienkami.

Młody dziennikarz nie zdziwił się więc zbytnio, gdy Franciszek poprosił go do salonu państwa. Domyślał się, że w salonie zastanie Zdzisława i pana Krańskiego.

Ujrzawszy jednak tak liczne towarzystwo, zatrzymał się w progu lekko zakłopotany, tym więcej że czuł na sobie ciekawe spojrzenia wszystkich obecnych. Nie trwało to jednak dłużej, niż sekundę.

Zdzisław wybiegł mu na przeciw i przedstawił gospodarzowi, który powitał dziennikarza bardzo uprzejmie i z kolei dokonał ceremonii przedstawienia go pozostałym.

Kazimierz robił wrażenie człowieka zdolnego i żywego. Był pewny siebie. Miał maniery salonowe, przy tem wysławiał się gładko i swobodnie.

Janka powitała go przyjaźnie, natomiast Irena podała mu rękę w milczeniu, zimno, choć grzecznie. Dziennikarz widział jednak, że jej czarne oczy przesuwały się po jego osobie.

Ściskając małą, białą rączkę, nie mógł powstrzymać się, aby nie powiedzieć przyciszonym głosem:

— Bardzo mi przyjemnie... Pragnąłem poznać panią.

Irena zaróżowiła się i spuściła oczy.

Pan Krański posadził go naprzeciw siebie przy małym stoliku, do którego przysunął się także Tulczyński. Zaś Zdzisława zabrały panny do przeciwnego rogu, gdzie zaczęły z nim ożywioną rozmowę.

— Pan dawno tu bawi? — zapytał gospodarz.

— Od dwóch dni dopiero — odpowiedział Kazimierz. — Nie znam tu nikogo i cieszę się ogromnie, że spotkałem Zdzisława.

— To pan nie wiedział, że pan Doniecki u nas spędza wakacyjny sezon?

— Ani nie przypuszczałem tego, proszę pana. Nawet nie wiedziałem, że on wyjechał z Poznania. Nie widzieliśmy się już od paru miesięcy. Wie pan? Ja tylko przypadkowo tu trafiłem. Bo mam już ustalony zwyczaj, że corocznie, gdy słońce zaczyna zbyt silnie prażyć, rad uciekam z dusznych murów miasta i na parę tygodni zakopuje się na wsi, aby tam oddychnąć sobie świeżem powietrzem. Tego lata łaskawe bogi przywiodły mnie do tejże wioski.

— Pan, zdaje się, jest dziennikarzem?

— Tak. W wolnych zaś chwilach bawię się w literata.

— Literata?! — zawołał Tulczyński. — W takim razie jesteśmy koledzy.

— Pan też literatem? — zdziwił się Kazimierz, wpatrując się w niego. — Pan Tulczyński?... Czy nie jest pan Eugeniusz?

— N... nie. Ja jestem Antoni.

— Antoni? Zaraz... nie! Nie słyszałem nic o panu. Jakie utwory pan pisze?

— Ja?... Po... ech, oczywiście chciałem mówić, że tego, przeważnie nowele. I zazwyczaj piszę pod pseudonimem...

Kazimierz spostrzegł, że Tulczyński jest zmieszany i zaskoczony jego pytaniami. Udawał jednak, że tego nie zauważył.

Tymczasem rozmowa przeszła na tematy polityczne i przeciągnęła się aż dwie godziny.

Dziennikarz powstał i począł się żegnać.

— Długo pan tutaj zabawi? — spytał go pan Krański na odchodem.

— Dwa tygodnie, może nawet mniej trochę. Nie wiem jeszcze dokładnie.

— Chciałbym dłużej z panem porozmawiać. Pan przyjdzie kiedy do nas, prawda?

— Przyjdę — oczy Kazimierza szukały Ireny. — Rad skorzystam z pańskiego zaproszenia. Pochlebia mi przebywanie w tak zacnem i miłem towarzystwie.

Raz jeszcze skłonił się dziewczynom i wyszedł, odprowadzony przez Zdzisława.

Rozdział X.
DZIENNIKARZ MA GŁOS

W dwa dni potem Kazimierz wybrał się do willi „Aurory“. Przybył zaraz po południu i zdziwił się ciszą, jaka panowała w całym domu. W obszernym hallu, do którego wszedł bez żadnych przeszkód, nie było żadnej duszy. Czekał chwilę, czy nie nadejdzie kto ze służby, a gdy nikt nie przychodził, podszedł do okna i zapatrzył się w błękit nieba.

— A pan tu czego, panie dziennikarzu? — zapytał naraz żartobliwie znany głos.

Zdzisław stanął przy nim.

— Z wizytą.

— Widziałem cię przez okno — mówił Zdzisław. — Przybyłeś jednak nie w porę, mój drogi.

— Dlaczego? Czy pan Krański wyjechał?

— Nie, ale spoczywa teraz w błogich objęciach Morfeusza — Zażywa poobiedniej drzemki.

— A panie?...

Zdzisław zaśmiał się.

— Widzę, że o nie najwięcej tobie chodzi. Szczególnie o jedną... No, przyznaj się...?

— A choćby...

— Wiem, ale w tej chwili nic z tego. Dziewczyny są u siebie na poufnej pogawędce i najlepiej będzie, gdy zaczekasz z godzinkę. Wiesz co? Chodzi do mnie na górę. Porozmawiamy sobie.

I nie czekając odpowiedzi, Zdzisław pociągnął przyjaciela do swego pokoju na piętro.

— Mam do siebie wielką prośbę — rzekł Zdzisław, gdy zajęli już miejsca. — Chciałbym obdarzyć cię pewną „robotą“... Myślę, że zrobisz to dla mnie, bo, jako dziennikarz, posiadasz zapewne większe zdolności w tym kierunku.

Kazimierz bystro popatrzył na mówiącego.

— Chcesz obdarzyć mnie „robotą“ — powtórzył, akcentując ostatni wyraz. — Domyślam się jaką. Uprzedzam cię jednak, że ze mnie jest kiepski detektyw.

Zdumienie odmalowało się na twarzy Zdzisława.

— Skąd wiesz?...

— Znam twoje myśli. Naprzykład, patrząc teraz na twoją twarz, czytam z niej bardzo wiele.

— Co czytasz?

— Bardzo interesujące rzeczy. Między innemi to, że jesteś zakochany jak student i zarazem bardzo zazdrosny, mój drogi. Dalej, że masz jakieś zmartwienie. Zdaje się, że z powodu intrygi rywala.

Dziennikarz śmiał się, nie domyślając się wcale, jak blisko był prawdy.

Zdzisław aż podskoczył na krześle na dźwięk słowa „rywal“. Wnet jednak opanował się.

— Teraz już wiem napewno, że ty mi będziesz mógł dopomóc — zawołał z przekonaniem i zapytał z podziwem w głosie: — Czy bawisz się także w psychologa?

Dalszy ciąg na stronie 895.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

„ŚMIECH TO ZDROWIE!"

„Wesoły człowiek" pisze: „Jak wynika z mego pseudonimu, lubię być zawsze wesołym. Taka już zresztą moja natura.

Moim gorącym życzeniem to nawiązanie korespondencji z jakąś pogodną, zawsze wesoło uśmiechniętą panią. „Śmiech to zdrowie"! — oto moja zasada.

Na każdy list postaram się dać szybko odpowiedź".

W NAJBLIŻSZYM CZASIE

„Eros". Przykro mi, że „komunikaty" Pana dotychczas nie zostały wydrukowane. Musi mi Pan wybaczyć — piętrzący się na mym biurku stos listów wymaga kolejnego załatwiania. W najbliższym jednak czasie, postaram się apel Pana umieścić w „Moich Powieściach". Dziś daję część:

„Eros" przesyła serdeczne pozdrowienia „Kropelce" i „Tamarze" i zapytuje, dlaczego nie otrzymał odpowiedzi"?

Hallo! „Hordzie"! Ślę Ci serdeczny uścisk dłoni z zapytaniem, czy nie zechciałbyś ze mną nawiązać kontaktu?

Wszystkim Członkom „Krainy" — śliczne pa!

NIECH WYSTARCZY CI

„Nie — biedna". Kim jestem? — Człowiekiem „z krwi i kości", Maryluś! Człowiekiem, który chciałby, aby ludziom nie było tak źle na świecie, aby nie popielały im dusze w ustawicznych troskach i kłopotach. Odpowiedź ta, aczkolwiek nie wyczerpująca Twoich zapytań, niech wystarczy Ci, Marylu.

Dopisek z listu Twego zamieszczam:

„Złotowłosa Haluś"! Zapewniam Cię, że natychmiast na liścik Twój odpowiem — pisz więc do mnie śmiało.

„Maronie"! Proszę o... fotografię!"

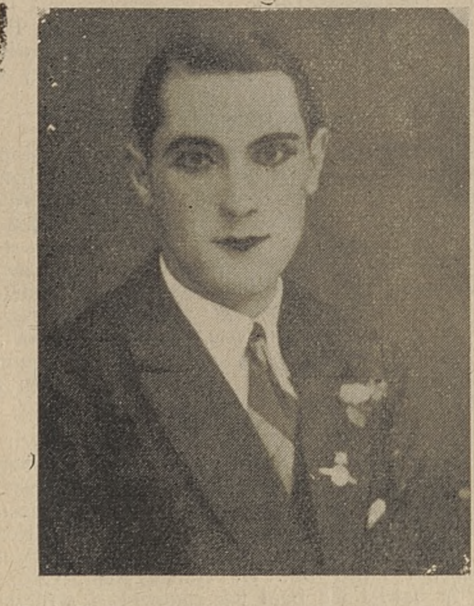
Z PRZYJEMNOŚCIĄ ODCZYTAŁAM LIST PANI

„Ar". — Z prawdziwą przyjemnością czytałam list Pani, pełen serdecznych i szczerych słów. Cieszy mnie, że zdobyła Pani za pośrednictwem „Moich Powieści", nowych, miłych przyjaciół.

W pracy życzę Pani wytrwania — najtrudniejszy wszak bywa początek. Jeżeli się go przezwycięży, życie popłynie już wartkim trybem.

Abonament ma Pani zapłacony do końca listopada.

Czekam na dalsze wiadomości od Pani.



Pan Michał Choszcz, autor licznych wierszyków, przesyła z Pomorza wszystkim Czytelnikom „Moich Powieści" moc serdecznych pozdrowień.

LISTY SYMPATYKÓW SPRAWIAJĄ MI ZAWSZE PRZYJEMNOŚĆ

„Samotna Klaruta". Serdecznie dziękuję Pani za pozdrowienia z Opalenia. Cieszy mnie, że pobyt w tej miejscowości tak dobrze wpłynął na Pani zdrowie i samopoczucie. Zabrała Pani z tej miłej wsi wiele letniej ciepłoty i jasności słońca — a starczy Pani tego na długo, prawda? Proszę pisać do mnie często — liściki Sympatyków „Moich Powieści" są dla mnie zawsze wielką przyjemnością, i zawsze z równym uczuciem odpowiadam na nie. Czekam zatem na wiadomości z Nowego.

A teraz apel do Czytelniczek i Czytelników:

„Droga „Biała Uajali", za ten Twój śliczny wierszyk ślę Ci w podzięce mój promienny uśmiech. Smutno mi, że nie otrzymuję żadnej odpowiedzi na liścik, który wysłałam już dawno. Czekam na nią z tęsknotą!

„Słodkiej Psyche", ślę wzajemne pozdrowienia, może Dziewczynko Kochana, skreśliłabyś choć kilka słów; ucieszyłabym się.

„Błyszcząca Gwiazdeczko", ktoś znany śle Ci słodkie całusy i — dowidzenia!

Serdeczne pozdrowienia dla „Pomorzanki" z nad Wisły".

Może któryś z Sympatyków skreśli do „Samotnej Klaruty" liścik, ucieszę się i przyrzekam odpowiedź murowaną".

POLECENIA WYKONAŁA ADMINISTRACJA

„Fakir". — Sprawę wysyłki tomika poezyj, kilku brakujących numerów „Moich Powieści" i okazowych, pod wskazanym przez Pana adresem, powierzyłam administracji, która polecenia te już wykonała. Za zjednanie nowej abonentki składam Panu w imieniu „Moich Powieści" serdeczne podziękowanie.

Cieszy mnie bardzo, że wszystkie działy naszego pisma Panu odpowiadają i że znajduje Pan w czytaniu wiele przyjemnego zadowolenia. Postaram się, aby Pan i wszyscy inni Czytelnicy zawsze odnosili to samo wrażenie.

Nadesłany wierszyk miły, ale jeszcze słaby. Może następne będą już lepsze?

NAPEWNO...

„Smutne Serduszko". I mnie również przykro, że na początku spotkał Panią zawód. Proszę się jednak tym nie przejmować, gdyż napewno znajdzie Pani tym razem kogoś miłego, kto wniesie w Pani życie wiele jasnych chwil. Apel Pani poniżej podaję:

„Jestem blondynką o niebieskich oczach dzieckiem łąk i pól. Lubię śpiew i muzykę. Chciałabym drogą „Krainy" znaleźć kochające serduszko, któreby mnie zrozumiało. Proszę więc kochanych Sympatyków o liściki.

Szczególnie o to proszę „Lakoniczka" — „Terenię z pod Wrześni" — „Mar'ana" i „Gentlemana", gdyż pierwsza napisać nie mam odwagi!"

KRÓTKI APEL

„Ny - czar". Z przyjemnością oddaję krótki apel Pana do przedruku:

„Pragnę nawiązać korespondencję z inteligentną panią".

NIE TRZEBA...

P. Janeczka W. Cieszy mnie bardzo, że odnosi się Pani z takim zaufaniem do „Moich Powieści" i z chęcią przyjmuję Panią, jako nowego członka do „Krainy". Doskonale rozumiem Pani cierpienie — los często doświadcza nas zsyłając ciężkie ciosy, lecz nie trzeba się poddawać — nadejdzie chwila, która jasnością i ciepłem wynagrodzi tamte, złe czasy.

A teraz, stosując się do Pani listu, podaję niżej Jej apel do wiadomości czytelników:

„Brunetka lat 22, córka gospodarza wiejskiego, nawiążę chętnie korespondencję z poważnym blondynem. Listy proszę kierować do „Moich Powieści" — dla „Janeczki W."



Uśmiechnij się do nas, Mała Dziewczynko, nosząca w „Krainie" imionko: **„Takie małe Coś z loczkami"**. Z uśmiechem na buzi będziesz jeszcze ładniejszą...

CZYŻ NIE CIEKAWIEJ?

„Zrozpaczona Maryla". — Za fotografię ogromnie Pani dziękuję — swojej nie posyłam, bo... czyż nie ciekawiej być nieznaną, tajemniczą? Bardzom rada, że pozbyła się Pani dawnych, smutnych przeżyć, i że się Pani dobrze czuje w nowej miejscowości. Serdeczne wyrazy, — odwzajemniam szczerym uściskiem dłoni.

A teraz dla Czytelniczek i Czytelników „Moich Powieści": „Zrozpaczona Maryla" śle wszystkim bardzo serdeczne pozdrowienia, a „Erosowi" ślicznie dziękuję za pozdrowienia".

DLA ZWOLENNICZEK HAROLDA LLOYD'A

„Harold Lloyd". Oto jeszcze jeden miły liścik, który w ostatnich dniach wpłynął do „Krainy":

„Mówią wszyscy, że jestem podobny do Harolda Lloyd'a, dlatego też obrałem sobie, jako pseudonim, nazwisko tego gwiazdora.

Portret mój już wszyscy znają, więc powiem o sobie jeszcze tylko to, że jestem z zawodu buchalterem i ulubioną moją rozrywką to sport i śliczna kawiarenka w Poznaniu „Cafe George". Mieszkam w Poznaniu.

Jeżeli która z przemiłych Sympatyczek „Krainy", a zwolennicza Harolda Lloyd'a zechciałaby nawiązać szczerą nić korespondencyjną, niech napisze do mnie pierwsza, gdyż będąc dżentelmenem — daję zawsze pierwszeństwo płci pięknej.

W załączeniu przesyłam milutkie pozdrowienia, oraz gorące uściski dla całej „Rodzinki".

DLACZEGO TAK, A NIE INACZEJ?

„Lawrence". Ten „Lawrence", ten „Lawrence"... Nagadał mi tyle przyjemnych i ciekawych słów, że nie wiem, czym się za nie mam odpłacić. A może, „Lawrence", powie mi sam — czym? Bardzo proszę!

„Dlaczego patrzy pani na świat tak, a nie inaczej?" — pytasz, Drogi Przyjacielu. A dlaczego Pan myśli tak, a nie inaczej, dlaczego śnieg pada tak, a nie inaczej, dlaczego wróbelki za oknami ćwierkają tak, a nie inaczej?... To wszystko jedno! To nie moja zresztą zasługa, że właśnie tak patrzę na świat — inaczej nie potrafię, Drogi „Lawrence".

Napisz znowu tak miło i cudnie!

(Imieniny Janusza przypadają na dzień 11 listopada).

CZY WYSTARCZY?

„Czarny Saturn". Z przyjemnością przychylam się do życzeń Pana i przesyłam tą drogą serdeczne pozdrowienia od Pana dla pp. dyr. Chylareckich z Białośliwia, p. Scheinera i p. Antka.

List wysłałam — czy przyniósł zadowolenie i moc spodziewanych wrażeń? W miejsce „dobrego słówka" przesyłam Panu bardzo serdeczne pozdrowienia i mocny uścisk dłoni. Czy to wystarczy Panu?

Hallo! „Pomorzanko" i „Jadko"! Pozdrowienia od „Czarnego Saturna"!

Z NIECIERPLIWOŚCIĄ...

„Leśniczanka z pod Jarocina" w liście swym pisze:

„Jestem leśniczanką, młodą wysoką blondynką, trochę marzycielką. Kocham las i wodę. Lubię urządzać długie wycieczki rowerem. Życie w lesie upływa mi beztrosko, ale mimo to, brak mi kogoś, ktoby podszedł do mnie serdeczniej, niż inni ludzie.

Szczere pozdrowienia ślę „Smutnej Hance" „Oddalonemu" i „Zawiedzionemu".

Z niecierpliwością oczekuję pierwszego listu od nieznajomej lub nieznajomego".

CHOCIAŻ NIE BĘDZIE ZBYTKU RÓŻ

„Mała Konwalijka". Nie, nie śmieje się z Ciebie, Siostrzyczko moja, ale całuję Twoją główkę z życzeniem, aby Twoje serdeczne marzenie, spełniło się jak najprędzej.

„Życie takie, jak moje, nigdy nie obfituje w róże" — piszesz w liście. Chociaż tak jest — nie martw się tym, Kochanie. Wątpię, czy gdzieś w pobliżu znalazłby się człowiek, któryby mógł powiedzieć, że przeszedł przez życie po różach. Chyba nie! Każde ludzkie istnienie, to splot nieustannych walk, trosk i krótkich uśmiechów szczęścia. Pomyśl chwilkę, a przyznasz mi rację. A potem — podnieść główkę w górę i postanów sobie, wbrew wszelkim niepowodzeniom, wierzyć w życie, wierzyć w to. że przyjdzie kiedyś wyzwolenie z smutków... I chociaż nie będzie w życiu zbytku róż, ale napewno znajdzie się kilka pięknych, wonnych róż rzuconych łaskawie przez los, a których zapachem będzie można upić się dowoli — ot, pomarz sobie o tym, „Konwalijko" moja, w swej samotni.

Fragment liściku zamieszczam:

„Najbardziej kocham jesień z jej melancholią i cudnymi przebłyskami słońca. Jesień jest tak podobna do mego życia. Tak samo, jak ona, tęsknię i smucę się. Chodzę po alejach parku, po trawnikach, wśród olszyn w tej wiejskiej samotni, w której zamieszkuję i marzę, aby znalazł się „ktoś" również samotny i zapomniany, jak ja. Marzę, aby człowiek ten kochał mnie tak, jak kocha matka dziecko swoje i aby miał wyrozumienie dla ludzkich wad, i nad wszystko inne przekładał piękno, ciche życie i książki.

A teraz: „Maruto"! I ja kocham Cię bardzo. Tak mi Cię żal, że ostatnio chorujesz. Co nowego u Ciebie? Pisz prędziutko!

„Czarnula"! Fotografia śliczna, zasługa oczywiście Twoja!

„Konwalio"! Dlaczego nie mam odpowiedzi? Pisz na stary adres".

OGROMNA PROŚBA

„Przedwiośnie". Dziewczynko Malutka! W swoich długich listach szepcesz mi tysiące dobrych, cichych słów. Czytam je z wzruszeniem i uśmiecham się do nich, chociaż nic nowego mi nie mówią. Słowa Twoje znam tak dobrze, jak własną duszę. Kiedyś wypowiadałam je z takim samym ogniem w oczach, jak Ty, to znowu wyszeptywałam je z cichą zadumą białym, cierpliwym kartkom papieru. Słowa... słowa... słowa...

Przeminą one kiedyś, Dziewczynko i przyjdą na ich miejsce inne, nowe. Stracą na swej aktualności i zbledną. Marzenia o srebrnych szamerunkach zgasną i już nie wrócą. Coś innego przyjdzie i zaprzątnie główkę — a wówczas i słowa inne będą. Wszak prawda, Skarbie mój?

Na zakończenie mam ogromną prośbę do „Przedwiośnia": podaj mi swoje imionko, Dziewczynko, abym wiedziała, jak Cię w swoich myślach nazywać. Czy prośba nie za olbrzymia? (Kto z sympatyków wypożyczy „Przedwiośniu" książkę Standhala — „Lamiel"?)

NOWA PRZYJACIÓŁKA

„Inka". Z prawdziwą przyjemnością przyjmuję Panią do „Krainy"; wbrew Pani wątpliwościom zawsze znajdzie się miejsce dla sympatycznych osóbek, chcących się dzielić ze swymi troskami i uśmiechami z całą „Rodzinką". Wszystkim „Siostrzyczkom" i „Braciszkom" — jak pisze p. „Inka" — przedstawiam nową przyjaciółkę. „Inka" ma lat 17, jest wysoką ciemno - blondynką o oczach niebieskich. Jest smutna i bardzo pragnie zawrzeć bliższą znajomość z kimś miłym i wesołym. Kto napisze do „Inki"?

Z wielką ciekawością czekam na liścik z opisem wsi „Inki" i przesyłam „Ince" bardzo serdeczne pozdrowienia.

Aha! Byłabym zapomniała! „Inka" przesyła pozdrowienia dla całej rodzinki, specjalne zaś dla „Pazia".

UWAGA! „HIACYNCIE"!

„Milionerka" dziękuje „Erosowi" za przesłane kiedyś pozdrowienia i wzamian przesyła „śliczne pa" od siebie i „Tycio - Tycjusieńkiej".

„Czarującej Adzie" śle serdeczne pozdrowienia i donosi, że posiada własny aparat fotograficzny i bardzo dużo fotek.

Bardzo lubi kwiaty — hiacynty. Chciałaby otrzymać list od „Hiacynta".

„JESTEM BARDZO SZCZĘŚLIWA"

„Złoteńko". — Przemiła Dziewczynko! Twój słodki liścik jest dostateczną rekompensatą za tak długie milczenie. Cieszy mnie ogromnie fakt, że życie Twoje ostatnio układa się tak beztrosko i jasno, i że je bierzesz w taki miły, Tobie tylko właściwy sposób. Gdyby tak więcej ludzi myślało, nie byłoby na świecie tylu nieszczęśliwych. Poniżej pozwalam sobie zacytować wyjątek z Twego listu:

„Jestem bardzo szczęśliwa. Kocham życie, mimo, że nieraz tak ciężko żyć, tyle cierpień fizycznych i moralnych spada na człowieka w chwilach przykrych dla siebie, trzeba cieszyć się szczęściem innych osób, a wówczas znajdziemy zadowolenie wewnętrzne! Taki wniosek wyciągnęłam, cierpiąc bardzo w ubiegłym roku. Zadowolenie wewnętrzne — cóż nam więcej potrzeba, toć w tych dwóch słowach poprostu mieści się nasze szczęście. Tak bardzo pragnę szczęścia wszystkich ludzi!"

Za fotografię ślicznie dziękuję i czekam następnej obiecanej, oraz podaję apel do członków naszej „Krainy":

„Złoteńko" dziękuje „Gwidonowi" za pozdrowienie z Warszawy.

Hallo! „Mała Konwalijko" czy nie mogłabyś napisać do mnie? Całuję Cię, choć nie znam!

„Biała Uajali" — „Boginkę" i „Marutę" serdeczne pozdrawiam. „Maruto", mnie na imię Marylka".

PISZ DO MNIE CZĘŚCIEJ

„Takie małe Coś z loczkami". „Ty pójdziesz górą, a ja doliną"... Tak, ale i w dolinie nieraz świeci słonko i rosną piękne kwiaty — niech Cię to pocieszy, moja Mała.

Zatęskniłaś, Dziewczynko i znowu napisałaś do mnie? Dziękuję Ci za to i całuję śliczne loczki i oczęta. Pisz teraz częściej, dobrze?

Zgodnie z poleceniem, zamieszczam Twoje słowa, przeznaczone dla Sympatyków:

„Hallo! hallo! Mój mały „Kwiecie z Hawai"! Dlaczego nic nie piszesz? Dziękuję Ci stokrotnie za odwiedzenie osoby bardzo mi bliskiej. Jesteś dobrą i słodką dziewczynką. Napisz już do mnie, bo tęsknię i niecierpliwię się, co z Tobą dzieje się. Całuję Cię serdecznie i proszę, pamiętaj o Cyganeczce.

„Porporato" — „Złotowłosa Haluś" i „Czarnobrewa Igo" — przyjmijcie wyrazy sympatii od kogoś nieznanego, ale bardzo Wam życzliwego. „Wirrytowi" w odpowiedzi komunikuję, że pierwsza do niego nie napisze... natomiast ogromnie ucieszę się, jeżeli „Wirryt" pierwszy odezwie się.

A może i Ty, „Marianie", rzucisz mi kilka słów? Odpowiem na list jak najchętniej i jak najszczerzej!"

CZY I TY MI WIERZYSZ?

„Blanka". I dzisiaj znalazło się trochę miejsca dla Ciebie, „Blanko"! Pragnę Cię choć na odległość uściskać i powiedzieć Ci, że słowom, wyszeptanym w cichej godzinie białemu arkusikowi, daję pełną wiarę. Znam Twoje myśli, „Blanko", Twoje marzenia i zapatrywania i to mnie zbliża ogromnie do Ciebie. Kocham Cię, „Blanko", za Twoją prostotę i cichy smutek. Czy i Ty mi wierzysz?

A teraz pozdrawiam w Twojem imieniu Wiśkę z J." — „Bena St. z G." oraz „Siostrzyczkę Twoją — Gercię z Klecka".

DZIĘKUJĘ!

„Gorczyca". Piękna wiązanka wprawiła mnie w zachwyt. Nie spodziewałam się... dziękuję za ten sympatyczny odruch! Zaproszenie, przesłane telefonicznie, ponawiam. Ściskam serdecznie dłoń!

Pozdrowienia, załączone przez Pana dla „Samotnej Oleńki" i „Dzinki" — przekazuję!

ADRESÓW NIE PODAJEMY

„Czytelnik „Moich Powieści". Adresy Czytelniczek i Czytelników „Moich Powieści" są wyłączną tajemnicą naszej redakcji. Jeżeli Pan ma zamiar skomunikować się z „Armidą", proszę przysłać liścik dla tej Pani pod adresem „Moich Powieści", załączając równocześnie 25-groszowy znaczek na dalszą przesyłkę listu. Łączę miłe pozdrowienia.

KORESPONDENCJA PRZYNOSI DUŻO WRAŻEŃ

„Esperantysta z Poznania". Zadowolona jestem, że za moim pośrednictwem nawiązał Pan kontakt z miłymi Czytelniczkami „Moich Powieści". Słusznie Pan zauważył, że taka wymiana myśli i poglądów doskonale oddziaływa na obydwie strony. Poznaje się charaktery, które swym optymizmem poprostu zarażają i odwrotnie, słysząc o bólach i zmartwieniach innych osób — nasze troski bledną, giną, rozpływają się jakby w świadomości o bólu naszych bliźnich.

A teraz apel Pana do Czytelników.

„Hallo! „Diano I". Czy otrzymała Pani jaki podręcznik do języka Esperanto? Ja władam tym językiem. Mógłbym Pani dopomóc. Pozdrawiam Panią i życzę zdobycia jak najprędzej gwiazdki esperanckiej".

„Smutne Serduszko". Serdecznie Cię pozdrawiam!

„Ryśka D." Ślę Tobie moc ukłonów! Na list Twój dałam odpowiedź. Dlaczego nie odpisujesz?

„Smutny Esperantysto"! Pozdrawiam Cię! Czy odezwiesz się do mnie?

Hallo! Kto z „Krainy" wypożyczyłby mi książkę p. t. „Hrabia Monte Christo"? i „Krwawa Pani na Czachcycach"?

Moc pozdrowień dla całej „Rodzinki".

Teczka Wujka Janusza

WIERSZYK TRZEBA JESZCZE WYGŁADZIĆ

„Iwola". Wierszyk — „W jesieni" — bardzo ładny. Zamieszczę go chętnie, ale po uprzednim poprawieniu w nim czwartej zwrotki. Zwrotka ta stanowi pewien zgrzyt w całym wierszu, trzeba więc ją trochę wygładzić. Powierzam to Pani i serdecznie ją pozdrawiam.

NIE POWINNO ZRAZIĆ, ALE ZACHĘCIĆ...

„Rych". Wiersze słabe. Zeszłoroczne utwory — również posiadają wiele niedociągnięć. Powyższe nie powinno jednak zrażać Pana, ale raczej zachęci Go do osiągnięcia celu. Przy intensywnej pracy i dobrych chęciach zdoła Pan napewno uzupełnić wszystkie braki i podnieść swój talent do należytego poziomu. Życzę tego Panu jak najszczerzej!

W sprawie przyjęcia do „Krainy" radzę Panu zwrócić się do p. Zofii. List Pana powita napewno z radości, i jak najchętniej zaliczy w poczet swej olbrzymiej „Rodzinki".

PRZEPRASZAM...

„Fidelis". Żal Pana jest do pewnego stopnia słuszny — przyznaję! Na swą obronę mam jednak to, że moja „Teczka" stanowi zupełnie odrębny dział i posiada swoich sympatyków. nie trudno mi więc popełnić niezręczność. O ile obraziłem Pana, to przepraszam jak najuprzejmiej. Chcąc dać Panu satysfakcję, podaję do ogólnej wiadomości, że „Fidelis", figurujący od czasu do czasu w „Krainie szczerości", nie ma nic wspólnego z podobnym pseudonim zamieszczonym w mojej „Teczce", w jednym z ostatnich numerów „Moich Powieści".

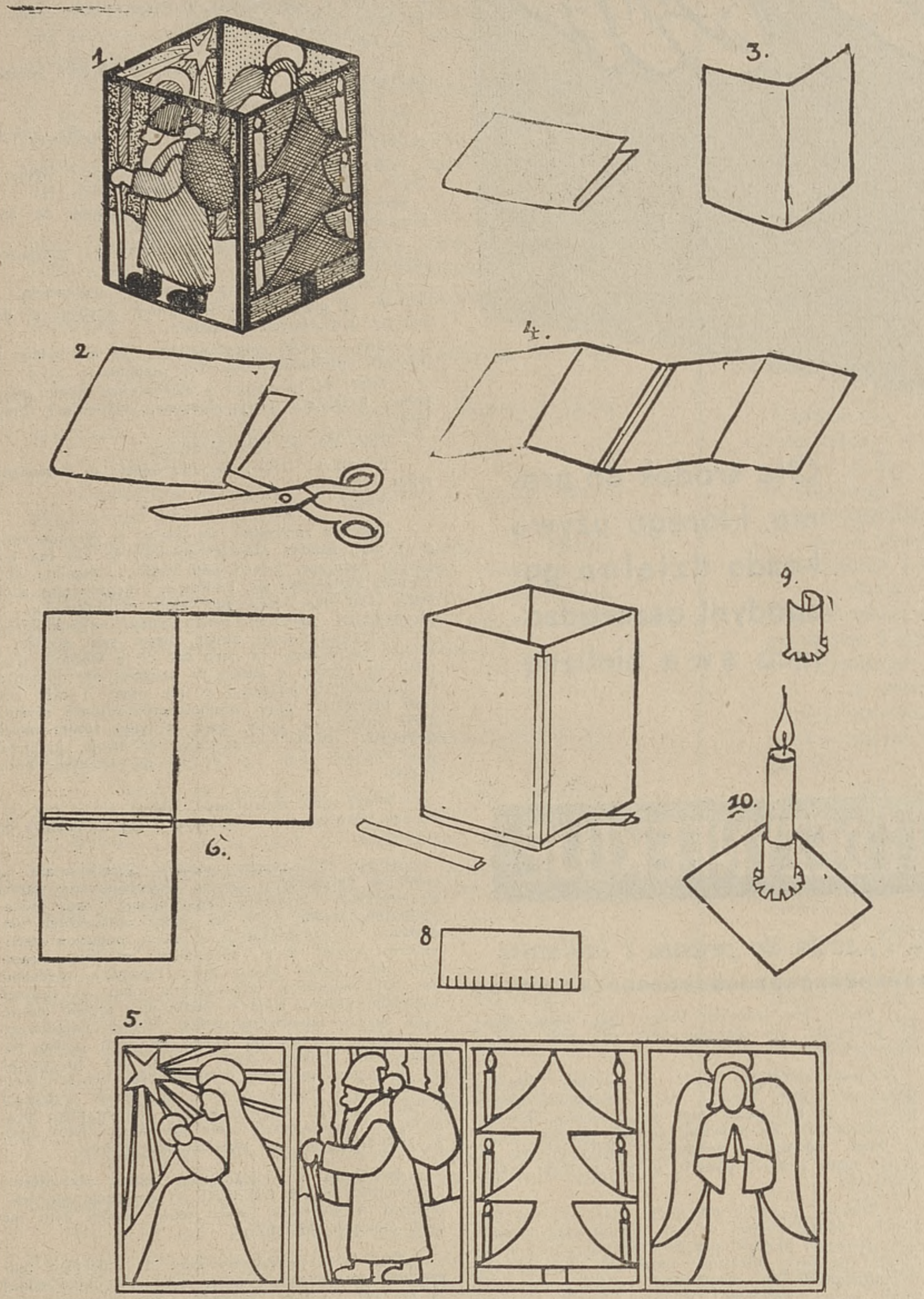
JUŻ WKRÓTCE!

„Stella Maris". Ostatni list Pani powitałem z niekłamaną radością i zadowoleniem. A wszystko dlatego, że przez dłuższy okres czasu okrywała się Pani tajemniczym milczeniem. Róż nie je sobie tłumaczyłem, dopiero list Pani przekonał mnie, że... źle tłumaczyłem. Cieszę się, że bawiła się Pani tak cudownie i wróciła do domu pełna zadowolenia i pięknych wrażeń.

Prośbie Pani może już wkrótce uczynię zadość. Pozdrawiam Panią jak najserdeczniej!

Raj kobiet

Czas już pomyśleć o świętach!



Czym zająć ręce w długie zimowe wieczory? Czym zaabsorbować myśli, aby nie gnuśniały lub nie szarzały, obracając się nieustannie w okręgu codziennych, banalnych, kłopotów i kłopocików. Najlepiej zająć się książką lub dla odmiany jakąś miłą robótką. W okresie przedświątecznym najaktualniejszym zajęciem będzie lepienie barwnych cacek na choinkę, względnie tworzenie innych przedmiotów świątecznych.

Takim miłym przedmiotem wykonanym w długie wieczory będzie lampion świąteczny. Zrobienie go nie przedstawi nam wielkiej trudności: barwna to praca, miła i nienużąca. I taka radosna, bo przepojona myślą o najradośniejszym z świąt, o Bożym Narodzeniu.

Kolorowy lampion, będzie wyglądał czarująco, zawieszony wysoko na zielonym drzewku, czy postawiony na podłodze, pod choinką. Na białym obrusie, na stole, w wieczornym mroku, stanowić będzie uśmiechniętą kolorową lampkę, tym cenniejszą, że przez nas samych wykonaną. Więc do dzieła! Czas już pomyśleć o świętach, gdyż listopad ma się ku końcowi.

Z okładek zeszytu i kolorowego, jedwabnego papieru, mogą pracowite, nawet małe rączki wykonać ten śliczny, barwny lampion gwiazdkowy, uwidoczniony na rysunku 1.

W tym celu przecinamy okładki zeszytu na grzbiecie, a każdą połowę składamy na pół (rysunek 2 i 3). Następnie obydwie części kładzie się obok siebie na stole i skleja paseczkiem papieru wysmarowanym klejem (rys. 4). W ten sposób otrzymuje się 4 pola ułożone przy sobie. Na jednym z tych pól rysujemy ołówkiem jeden z obrazków, pokazanych na rysunku 5, pamiętając o tym, że przy każdym obrazku należy zostawić od brzegu wolną przestrzeń, szerokości palca. Teraz bierzemy cieńką stalówkę i atramentem przeciągamy linię po rysunku ołówkowym. Linie te stanowić będą pewien rodzaj rusztowania przy wycinaniu obrazków. Wolna przestrzeń między obrazkami będzie zaklejona kolorowym, jedwabnym papierem. W tym celu kładzie się obrazek na papier jedwabny, odmierza formę i kroi bibułkę nieco większą od rysunku, przyklejając ją następnie do grzbietów figury.

Kiedy wszystkie rysunki są w ten sposób przygotowane, można latarnię złączyć. Kroimy za tym kwadrat z tektury, którego rozmiar będzie odpowiadał długości czterech węższych stron lampionu. Jedną stronę kwadratu przyklejamy odrazu paseczkiem papieru do jednej strony obrazka (rys. 6), a następnie ustawiamy latarnię, sklejając znów paseczkiem papieru stronę 1 i 4-tą. W ten sposób osiągniemy figurę jak na rys. 7. W środek podstawy wstawiamy zrobiony z grubej tektury lichtarz: paseczek tektury, strzępimy nożyczkami z jednej strony, zwijamy w okrąg, sklejamy i wklejamy do środka wstawiając w lichtarzyk świecę (rys. 8, 9, 10). Z. Z.

Ze świata

Charty największymi histerykami

Prof. Howeston wygłosił w towarzystwie miłośników zwierząt w Londynie odczyt, w którym omawiał wpływ obecnego trybu życia na psychikę zwierząt, w szczególności psów. Uczony twierdzi, iż nerwowe tempo życia odbija się jednakowo na zwierzętach i ludziach, przy czym omawia ciekawe zjawisko, zaznaczając, że psy o tak zwanych „linjach opływowych" smukłe i wydłużone mają szczególnie wrażliwy system nerwowy i z łatwością podlegają histerii. Największy procent chorych nerwowo psów zanotowano wśród chartów.

Rośliny, które mają oczy

Kierownik instytutu botanicznego w Grazu, profesor Haberlandt oznajmił, że udało mu się odkryć u niektórych roślin zmysł wzroku owadów, i innych niskich gatunków zwierząt np. ślimaków.

Każda komórka liścia tych roślin stanowi soczewkę niemniej doskonałą, niż poszczególne tęczówki oczu owadów.

Okazało się, że soczewki roślinne, znajdujące się w liściach, dają wyraźne odbicie otaczających przedmiotów, a nawet twarzy i domów.

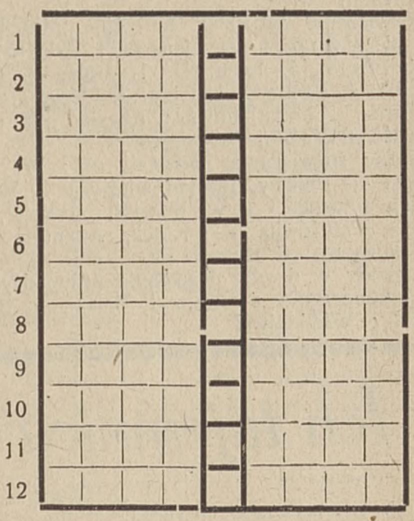
A więc rośliny posiadające oczy istnieją. Wprawdzie są to oczy bardzo proste, właściwie prymitywne związki oczu, ale możliwe, że roślina rozróżnia niemi przedmioty otaczające od owadów. Oczy te różnią się od oczu owadów tylko tym, że nie zawierają barwnika.

Prof. Haberlandt stwierdził ich istnienie na liściach figi indyjskiej, norweskiego klonu i peruwiańskiego akantu.

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF

uł. Z. Z.



Wpisać poziomo 12 wyrazów, o podanym niżej znaczeniu, a rząd środkowy da rozwiązanie.

1. Teczka biurowa. 2. Człowiek, uwzględniający żądania mas ludowych. 3. Instrument muzyczny. 4. Dziedzina upiększania. 5. Imię męskie. 6. Państwo w Europie. 7. In. jakiś dział. 8. Działanie arytmetyczne. 9. Wytwór przemysłu. 10. Wiadomość prasowa. 11. Schronisko dla starców lub sierot. 12. Odłam medycyny.

ZAGADKA

Które miasto polskie jest cudzoziemcem?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwią-



zania należy nadsyłać do piątku, 4 grudnia bież. roku.

Rozwiązanie zadań z nr. 46. „Moich Powieści": Uzupełnianka: A. 1. Adam. 2. Sala. 3. Arab. 4. Lena. B. 1. Bola. 2. Obra. 3. Elba. 4. Efeb. C. 1. Cera. 2. Oczy. 3. Kocz. 4. Owoc. Złota myśl: Lepszą jest uboga mądrość, niż głupie bogactwo.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: W. Jakubowska — Pniewy, Roman Śnieżyca — Węgry, Marian Sawicki — Wielkawieś, „Bolek", Genowefa Patułówna — Kłeck, Adamina Walkowiakówna — Rossoszyca.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: W. Jakubowskiej z Pniew i Marianowi Sawickiemu z Wielkiejwsi.

Ich tajemnica

(Opowiadanie z życia studenckiego).

Marek Juk opowiadał biednemu koledze o swoich planach na przyszłość: pociągiem, na który czekają obaj, pojedzie do dalekiego uniwersyteckiego miasta, zajmie oddawna już zamówiony pokój, i, nie troszcząc się o byt materialny, odda się studiom nad chemią organiczną.

Ten jego biedny kolega, Tomek Chrobał, udawał się tym samym pociągiem do pobliskiej stacji na stanowisko telegrafisty.

Pomiędzy obu przyjaciółmi taki się wywiązał dialog:

— A jednak kto ma rodziców, choćby niebardzo bogatych, ale inteligentnych, do tego zapewniony dach nad głową i warunki kształcenia się, zdrowie i nieprzeciętne zdolności, ten ma możność zrealizowania najpiękniejszego z planów, jaki poweźmie: może zdobyć zawód.

— Każdy jest kowalem swego losu, każdy choćby niebogaty, ale potrzeba mieć siłę woli... Czym chciałbyś być?

— Czym chciałbym być? To pytanie wprawia mnie w kłopot. Czy z racji uzyskania matury spłynęła na nas jakaś moc czarnoksięska, któraby umożliwiła nam zrealizowanie naszych planów? Zresztą, kiedy się dobrze zastanowię, zdaje mi się, że ja nie mam żadnych palnów, że ja nie mam żadnej przyszłości.

— Szkoda. Ja swoją przyszłość widzę oczyma wyobraźni: szereg postaci w bieli, laboratorium chemiczne, spokojne płomyki palników bunzenowskich i buchające na płyty kamienne płomienie suszarek, syk w rozpalonych do czerwoności tyglach, w ustach smak jakiejś rozkosznej trucizny, katalizatora reakcji wyobrażeń. Mój zawód to chemia.

— Oddasz mu się całą duszą i zatracisz posmak życia. Zamkniesz się w czterech ścianach probówek, kolb, tyglów, retort etc., etc., oddychać będziesz gazami, karmić się pyłem sproszkowanych trucizn, a popijać herbatą, zgotowaną w zlewce. Znajdziesz się w środowisku ludzi, jednakowo myślących, jednakowo mówiących, działających jak automaty. Jakże monotonny i nudny musi panować tam nastrój.

— Nie, mój przyjacielu. Podczas pracy tylko tkwimy w środowisku, do którego sami należymy, podczas zabawy, przy biesiadzie spotykamy się często z ludźmi innego pokroju.

— W inny sposób zmanierowanych, chciałeś powiedzieć?

— Te określenia nie zmieniają postaci rzeczy. Nie podlegają wpływom tylko ci, którzy się nie urodzili.

— Więc każdy człowiek jest skazany na życie wśród otoczenia?

— Tak. Jest skazany na życie wśród otoczenia i byt jego zawiera się pomiędzy dwoma zagadnieniami: Czego wymaga życie od człowieka, i czego człowiek może się spodziewać po życiu. Zagadnienia te są znane i stare jak świat. Biorę, więc daję...

— Ja nic nie biorę i nic nie dam.

— To jest złudzenie, że nic nie bierzesz, tylko nie bierzesz tyle, ile chciałbyś, tak?

— To prawda, ale nie rozumiem, dlaczego tak jest, jedni mają za wiele, a drudzy za mało.

— Czy nie jest to również złudzeniem? Czy i ja mam za wiele?

— Tak, Marku i ty.

— Tak? A więc myślisz, że mając połowę tego, co ja mam, byłbyś zadowolony?

— Tak.

— A mając tyle, ile ja mam, czy byłbyś bardziej zadowolony?

— Byłbym szczęśliwy.

— Czy miałbyś odwagę sięgnąć po środki, któreby ci kto zaofiarował?

— Byłbym mu wdzięczny do końca życia. Byłby to chyba jedyny na świecie przyjaciel.

Marek Juk chwycił Tomka Chrobota za ręce i popatrzył mu w oczy z wyrzutem.

— Czy mnie nie uważałeś nigdy za przyjaciela prawdziwego?

— Ciebie uważałem za najlepszego przyjaciela.

— A za prawdziwego uważałbyś, gdybym ci dostarczył potrzebnych środków?

— Tak — rzekł zmieszany nieco — ale byłaby to przyjaźń problematyczna, bo kupiona.

— Zważ, że tu chodzi o stwierdzenie naszej przyjaźni... a także o twoje szczęście... Odpowiedz. Przyjąłbyś?

— Tak, ale nie jako darowiznę.

— Rozumiem ciebie, ale nie będzie to darowizna, tylko zamiana.

— Jakto?

— Poprostu zamienimy się losem, ja przyjmę twój, a ty mój, zgoda? Mówiłeś przecie, że kto ma bogatych rodziców, i dach nad głową, i wszelkie inne warunki kształcenia się, i zdrowie, i nieprzeciętne zdolności, ten ma, jeśli nie moc czarnoksięską, to przynajmniej możność zrealizowania najpiękniejszego z planów: może zostać, czym sam zechce, i działać jak zechce. Ja chcę dać ci tę możność wzamian za środki, z jakich ty mógłbyś się utrzymać. Nieprzeciętnych zdolności ci nie brak, o cały stopień przerastasz mnie zdolnościami; zdrowie również masz lepsze ode mnie, brak ci tylko źródła moich dochodów: oddam ci, zamienię na twoje, przyjmujesz? Zobacz sam, czy ci ich do szczęścia brak. Tomku.

— Widzę twoje dobre serce, Marku, ale to jest tylko taki twój kaprys, a przytym rzecz niemożliwa do wykonania.

— Rzecz to całkiem możliwa. Przedstawiam ją sobie w następujący sposób. Pojechalibyśmy razem do dalekiego, uniwersyteckiego miasta i tam pracowalibyśmy razem, tylko we wręcz odmiennych warunkach. Ty zamieszkałbyś w moim, oddawna zamówionym pokoju, a ja, pozostawszy na bruku, sambym sobie jakoś dawał radę. Pieniądze nadesłane na moje nazwisko, oddawałbym tobie do twojego wyłącznie użytku, a ja w jakikolwiek sposób starałbym się o zapewnienie sobie choćby najgorszego utrzymania. Jedynie na święta miałbym prawo pojechać do mojego domu i tam, nie przyznając się do naszej zamiany, przepędziłbym wesołe chwile w rodzinnym gronie. Z pod tego prawa wyłączam jedynie wakacje, podczas których odbywałbym praktykę w laboratoriach lub fabrykach. Nie myśl, że zrobiłbym na tym układzie zły interes.

— Byłby to z twojej strony diablo zły interes i chociażbyś nawet traktował go poważnie, nie wierzyłbym w szczerość twoich słów, dopóki bym nie miał realnych dowodów.

— Oto świeżo zakupiony bilet do dalekiego uniwersyteckiego miasta. Oddaję ci go, wzamian oddaj ty mi swój. Kurier nadjeżdża. Tu jest moja walizka, a tu list mojego ojca do mojej nowej gospodyni, zabierz i jedno i drugie. Od tej chwili ty jesteś mną, a ja tobą. Wsiadajmy. I tylko powiedz mi jeszcze, jak się nazywa szef telegraficznego biura, w którym miałeś pracować w charakterze telegrafisty, abym mógł mu donieść, że rezygnujesz z posady. Wsiadaj do klasy drugiej; śpiesz się, bo pociąg rusza. Dowidzenia!

— Zaczekaj, jeszcze słowo. Czy ty nie czujesz żalu do mnie, Marku?

— Bynajmniej. Jestem szczęśliwy, że ci mogę ułatwić drogę do przyszłości. Pamiętaj o naszej niespisanej umowie. Ja dam sobie radę w życiu.

Do dalekiego, uniwersyteckiego miasta uwoził pociąg dwóch młodych ludzi, a z nimi ich dziwaczną tajemnicę.

Z. S.

Wesoły korporant

Jakież to gatunki kandydacie,
Mikrobów świecących dobrze znacie?
Dobrze znam tylko, bardzo mi przykro,
„Słoneczko w kieszeni" — Centra-Mikro!

— To przecież należy do mego zawodu. Dziennikarz musi być wszystkiem po trochu: uczonym, literatem, prawnikiem, psychologiem, nawet fotografem, no i czasami także detektywem.

— Więc sam przyznajesz, że i ty nim jesteś?

— Lecz powiedziałem już, że jestem kiepskim detektywem... Ale o co właściwie chodzi?

Zdzisław szczegółowo opowiedział przyjacielowi o oszczerczych anonimach i dołączył do tego swoje wnioski i domysły.

— Wiem jedynie, że w grę wchodzi mężczyzna i to zapewne młody mężczyzna — zakończył opowiadanie. — Nie wiem jednak, kto jest tym oszczercą. A rozumiesz chyba, jak bardzo zależy mi na ujawnieniu jego nazwiska.

Kazimierz słuchał uważnie. Kilka razy zmarszczył czoło, jakby coś notował sobie w pamięci. Cała sprawa zainteresowała go widocznie.

— Czy masz jeszcze te anonimy? — zapytał wreszcie.

— Mam. Schowałem je, gdyż uważałem, że mogą być użyteczne.

Zdzisław podszedł do biurka i otworzył małą szufladkę, z której wyjął dwa listy.

— Oto są.

Kazimierz odczytał je uważnie, a potem długo wpatrywał się w pismo.

— Masz rację — mruknął nakoniec. — Mimo, że autor dokładał wszelkich starań, aby zmienić charakter pisma, poznać jednak łatwo, że litery stawiała męska i do tego wypisana ręka. Gość... Dlaczego podpisał się „Gość“ ?... Acha!...

— Co?

— Nic!

— Odpowiedz mi Kazik: dopomożesz mi do wykrycia tego łotra?

— Kiedy ty prosisz... ha! cóż mam zrobić!... Zobaczę, może uda mi się go wykryć. Uprzedzam cię jednak, że to sprawa nie tak łatwa i, że potrzeba więcej czasu, aby trafić na ślad oszczercy i posiąść dowody, któreby mówiły wyraźnie: — Ty, a nie kto inny, jesteś tym oszczercą!

Zmarszczył naraz brwi.

— Jest tylko jedna trudność — dodał po chwilce namysłu. — Jak wiesz, mieszkam u tutejszego nauczyciela, a stamtąd jest dość duża odległość do willi. Tymczasem, aby móc zdemaskować tego „Gościa“, musiałbym często być przy was, to jest przy tobie i pannie Krańskiej, gdyż ta sprawa dotyczy i ją w równej mierze.

— Będziesz mnie odwiedzał. Zresztą nie tylko mnie. Mam przecież oficjalne zaproszenie od pana Krańskiego.

Było to po myśli Kazimierzowi. Radowała go perspektywa częstego przebywania w willi „Aurorze“, w której mieszkała przecież „piękna czarnulka“ — jak nazywał Irenę Żałowską.

— Więc dobrze — rzekł ze zmarszczoną brwią — Zabawię się w detektywa. Może dowiem się prawdy. Najgorzej, że nie orientuję się jeszcze w sytuacji. Dotychczas nie wiem nic o pannie Krańskiej. Pozwolisz więc, że zadam tobie kilka pytań...

Kazimierz przybrał minę sędziego śledczego.

— No?...

— Pytaj, mój ty Sherlok Holmesie.

— Że jesteś zakochany, to już wiem — zaczął. — Ale czy jesteś pewny wzajemności panny Krańskiej?

— Oczywiście. Wprawdzie nie oświadczyłem się jej dotychczas, ale wiem, że Janka czuje dla mnie coś więcej, niż przyjaźń...

— Kiedy ją poznałeś?

— Ubiegłego roku. Spędzałem tu wakacje.

— Masz do niej zaufanie? No, nie krzyw się... Masz?

— Tak — odparł Zdzisław, akcentując każde słowo. — Powiem ci, że kocham ją do szaleństwa i że ufam jej bezgranicznie.

— Czy w ostatnim czasie nie asystował jej jaki mężczyzna?

— Nie. Zresztą dokładnie nie wiem. Panna Krańska ostatnie dwa lata przebywała w Krakowie.

— W Krakowie?... Nic nie wiedziałem. A czy państwo Krańscy zawsze tu mieszkali?

— Nie. Pan Krański kupił willę „Aurorę“ przed trzema, czy czterema laty. Przedtem mieszkał w Warszawie...

— Powiedz mi jeszcze, kto to jest ten pan Tulczyński?

— Sam nie wiem dokładnie. Jakiś literat. Bawi tu na wywczasach.

— Czy znajomy pana Krańskiego?

— O ile wiem, to pan Krański nie znał go przedtem. Przyjechał tu poraz pierwszy dopiero.

— Zdaje się, że on nie jest Wielkopolaninem...

— Tulczyński pochodzi z pod Warszawy, lecz nie wiem z jakiej miejscowości.

Coś jakby przelotny błysk zamigotał w oczach Kazimierza. Zmarszczył czoło w głębokiem zastanowieniu.

— Z ilu i z jakich osób składa się służba pana Krańskiego? — zapytał po chwili, raz jeszcze uważnie przeglądając anonimy.

— Z trzech: starej kucharki, pokojówki i lokaja Franciszka Leśniczaka.

— Acha! To ten młody chłopak, który zaprowadził mnie do salonu. Wydaje się być dość inteligentnym i sprytnym...

Podniósł wzrok na Zdzisława.

— A według ciebie, w jakim celu zostały wysłane anonimy? — zapytał z takim pospiechem, jakby chciał dogonić nagle powstałą w głowie myśl jakąś.

— Aby wywołać nieporozumienie pomiędzy mną, a Janką i nie dopuścić do naszego połączenia.

— Hm! hm!... Wszak mówiłeś mi, że w tej okolicy nie ma nikogo, ktoby znał się bliżej?

— Tak. Ale dlaczego pytasz?

— Bo to ważne dla naszej sprawy. Zważ tylko. Jeśli temu nieznanemu „gościowi“ tak bardzo zależy na tem, aby nie dopuścić do małżeństwa pomiędzy tobą, a panną Krańską, to — rzecz prosta — nie chodzi mu o ciebie, ale o dziewczynę. Dalej, anonimy były wysłane z tejże wioski, to dowodzi, że ich autor tu mieszka... Tymczasem ty utrzymujesz, że tutaj nikt cię nie zna, chyba tylko z widzenia, a — jak wynika z treści anonimu — ów „gość“ jest dobrze powiadomiony o wszystkiem. Wie, że zakochałeś się w pannie Krańskiej, zna twoje imię i nazwisko, wie, że mieszkasz w Poznaniu...

— Ale o tem mógł dowiedzieć się w urzędzie gminnym, gdzie jestem zameldowany.

— Tak, i to trzeba wziąć pod uwagę. Ale skąd wie, że kochasz pannę Krańską?... Nawet wie, że ona tobie sprzyja. Wynika to z treści anonimów. Z tego można wyciągnąć tylko jeden wniosek nieznajomy osobnik mieszka w sąsiedztwie willi, a może...

— A może...?

— Może nawet w willi!

Zdzisław podskoczył na krześle.

— Co mówisz?... — zapytał zmienionym głosem.

— Słyszałeś dobrze. Lecz powtarzam, że to tylko wniosek, który może być nie...

Naraz Kazimierz urwał i począł nadsłuchiwać. Potem na palcach podbiegł do drzwi i otworzył je tak szybko, że uderzyły silnie kogoś, stojącego poza niemi.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

9)

Radość życia

powieść

Po tym krótkim wypoczynku Niobe przychodziła zwykle do mojego gabinetu i teraz ja sprawdzałem jej umiejętności świeżo nabyte, największej uwagi poświęcając głosowi. Z jakąż ogromną radością konstatowałem niemal z dniem każdym postęp i rozwój tego rzeczywiście wspaniałego głosu, który się rozlegał, zmuszał cały hotel do modlitewnego zasłuchania i bezwzględnej ciszy, a na ulicy gromadził tłumy ludzi, zbiegających się ze wszystkich stron i krańców miasta. Lecz wyrobienie głosu Niobe nie było jeszcze w pełnej formie doskonałe, nie było takiem, jakiego ja sobie życzyłem, więc ilekroć zapytywała mnie o czas naszej wyprawy, odkładałem ją zawsze, aż głos jej stanie się zupełnie krystaliczny i czysty jak łza. Niobe zbyt mi ufała, zbyt wierzyła we mnie, by na tym tle mogły mieć miejsce choćby najdrobniejsze dysonanse.

— Skoro ty tak mówisz, Sew, więc tak musi być — odpowiadała mi zawsze z uśmiechem.

— Nie jesteś próżną, Niobe — mówiłem na to — a ta cecha twojego charakteru jest największym skarbem twego serca. Pragnę pokazać cię ludziom cywilizacji wtedy, gdy głos twój stanie się skończoną doskonałością. Bo wtedy nawet ci najwięksi z tych ludzi muszą paść przed tobą na twarz i oddać hołd twojemu geniuszowi. A wtedy...

— Sew, o Sew... wtedy... wtedy...

Lecz nie dokończyła zdania, ale jednym zwinnym ruchem wskoczyła mi na kolana jak rozpieszczony i bardzo kochany dzieciak i oplótłszy mi szyję ramionami, przytuliła się mocno do mnie. Poczułem ciepło jej pachnącego, żywego ciała i bicie serca takie mocne, takie gwałtowne i doskonałem uczucia, jakby mi już nic więcej do szczęścia nie brakowało, albowiem ta jedna chwila, gdy moją Niobe czułem na mej piersi, starczała za wszelkie rozkosze ziemi.

I takie sceny naszego rodzinnego życia powtarzały się czasem, nieraz dość często i one nam nagradzały wszelkie ciernie i głogi, które spotykaliśmy na drodze naszej.

Potem wymykaliśmy się cichaczem z hotelu, aby poczuć się znowu wolnymi i zaznać swobody wszędzie tam, gdziekolwiek być chcieliśmy. Oryginalne były te nasze ucieczki z hotelu. Ponieważ zarówno hal hotelowy, jak i podjazd przy głównym wyjściu zawsze pilnie strzeżone były przez licznych reporterów, fotografów, chodzików i wydrwigroszów, którzy nam zwykli byli zatruwać życie na każdym kroku, znaleźliśmy inne drzwi, których nikt nie pilnował. Było to boczne wyjście dla służby, prowadzące na obszerny dziedziniec, skąd przez dużą bramę wjazdową wychodziło się na boczną i prostą uliczkę. Drogę tą znalazł nasz nieoceniony Baltazar, który już teraz wrócił na stałe do poselstwa, a tylko w wolnych chwilach zaglądał do nas i pouczał swojego następcę, przez siebie zainstalowanego — o jego obowiązkach.

Naturalnie, skorzystaliśmy najchętniej z tego przejścia i odtąd zawsze tą tylko drogą wydostawaliśmy się z hotelu do naszego potężnego „Mercedes", który oczekiwał nas stale na bocznej uliczce, cichej i spokojnej.

Drzwiczki zatrzaskiwały się za nami, potężna maszyna drgała cicho, jak duch, snuła się krętemi i wąskiemi ulicami morskiego wybrzeża, mknąc daleko za miasto.

Rzadko tylko wracaliśmy z tych naszych wycieczek na obiad w hotelu. Woleliśmy obiadować w polu, gdzieś w zaroślach, na brzegu morza lub w szałasach pasterskich, woleliśmy gonić się po wzgórzach i równinach, niż spędzać czas na nudnych biesiadach z ludźmi, którzy, choć rozpływali się w słowach najbardziej przyjaznych, byli nam całkowicie obojętni. Oprócz, naturalnie, pana ministra i jego małżonki, którzy jedynie z pośród całej plejady ludzi, jaka nas otaczała zwartym pierścieniem wyróżniali się i na tle tego pospolitego snobizmu tak mocno odcinali, jak czarny cień w dzień słoneczny i jasny, albo lepiej — jak bardzo jasna plama na szarem tle.

Od czasu straszliwych pokus w naszej chatce nad morzem, potrafiłem ujarzmić moją bestję i utrzymać ją w karbach posłuszeństwa. Nigdy ona już nie mogła dojść do głosu z taką siłą, jak wtedy, chociaż czasem próbowała się obudzić i głowę podnieść, zwłaszcza, gdy Niobe, zupełnie nieświadomie, zbyt drażniła owego zwierza.

Widziałem, jak piękność Niobe rozkwita niemal z godziny na godzinę, jak z pąka, jakim była w poprzednim życiu, tam, na pagórkach Attyki, wyłaniają się boskie kształty wspaniałej róży, jak z poczwarki wyradza się przecudnych barw królewski motyl, który każdego sholduje, każdego podbije, oszołomi i pożogę w sercu człowieczem rozpali. Widziałem to wszystko, bo na oczach moich to działo się, czułem na sobie ów urok niepojęty, nieogarniony, ogromny, który ujarzmiał serce i pętał wodę, krwawiłem często i w cichości, kiedy byłem sam z ciszą i nocą jedynie — roniłem łzy, łzy żalu i tęsknoty za złudą szczęścia, które — nie wiem, czy kiedykolwiek przyjdzie do mnie, alem się przecie nie dał zmóc, nie dałem się pokonać.

Postanowiłem wytrwać w mojem czekaniu i nic nie mogło woli mojej złamać. A choć spalałem się w owem czekaniu, a choć cierpiałem bardzo — nie żałowałem tego nigdy. By tem większym było szczęście nasze, musi przedtem być ogrom żalu, morze cierpień. Bo one oczyszczają, uszlachetniają i dusze i serca ludzkie, podnoszą nas, czynią podobnymi Boga. W ogniu cierpień niszczeje w nas wszelkie zło, i podłość, i instynkty niskie, zwierzęce.

Niobe chwilami zdawała się rozumieć te moje cierpienia i zdawała się cierpieć narówni ze mną. Ale ja nigdy nie mogłem spokojnie i obojętnie patrzeć na nią w takich chwilach. Moje cierpienia, które tailem na dnie mojej najgłębszej istoty, wydawały mi się zbyt nikczemne, mizerne, drobne, w porównaniu z tym oceanem jej bólu i jej cierpień, które wyzierały z tych boskich oczu, w których widniała dusza szlachetna i czysta.

Pewnego dnia, gdyśmy byli tylko we dwoje w jej buduarze tak miłym i przytulnym i czuliśmy, jak bardzo ciąży nam stan takiej męki wzajemnej, nerwy moje, napięte do najwyższych granic, zdawały się pękać, rwać, rozluźniać. Jęknąłem więc raczej, niż rzekłem:

— Niobe, ja nie mogę, już nie mogę żyć w tem kole nieustannych udręczeń, w którym zdaje się nie być końca... Jak długo jeszcze tych cierpień?... Ja wiem, że i ty bolejesz nad tem, że i ty cierpisz, bardzo cierpisz...

Bolesne westchnienie nie wyrwało się z piersi; zacięła usta i oczy nakryła powiekami. Niebieskie żyłki wystąpiły gęstą siecią na skroniach, pulsując ciepłą, żywą krwią. Nerwy twarzy zadrgały gwałtownie, usta rozchyliły się nieco, odrobinę, ukazując zaledwie widoczną biel zębów; zbladła bardzo.

— Niobe... — szepnąłem ledwo dosłyszalnym głosem, ale ona nie drgnęła. Zdawała się być zastygłą, martwiącą i kostniejącą w swojej męce, która mogła ją przecież zabić. Widziałem bardzo wyraźnie, jak zdawała się zastygać, niby stop, którym artysta nalewa nową formę dzieła sztuki.

— Niobe! — powtórzyłem już mocno, z lękiem.

Drgnęła, otworzyła powieki, krew żywiej krążyć poczęła; zarumieniły się policzki i elastyczność wróciła jej ciału.

— Sew, o Sew!... — zawołała wkońcu, wpatrując się we mnie z rozrzewnieniem, współczuciem i miłością ogromną jednocześnie. — Nie potępiaj mnie, nie przeklinaj... ja wiem, wiem to bardzo dobrze, że cierpisz, ach, jak strasznie cierpisz!... Ale tak trzeba, tak trzeba... Ja... teraz... nic dać ci z siebie nie mogę, nic... czekaj, czekaj, o Sew!

— Czekam wszakże już tyle czasu, Niobe, tyle czasu... A cóż mi z tego czekania? Kocham cię jak duszę własną, wierzę ci jak Bogu... a jednak... O, Niobe! Gdybyś i ty mnie kochała, gdybyś mnie kochała... Ale mnie się to wydaje niepodobieństwem! Ty kochać nie umiesz, nie potrafisz. Jesteś poto tak królewsko piękną, by ranić jeno, na zatracenie prowadzić, na zniszczenie... Jesteś aniołem piękności, ale jakże okrutnym aniołem.

— Sew, o Sew, i ty to mówisz, ty?

— Tak, ja to mówię, Niobe, ja, który cię znam tak długo, który z tobą kęs życia wspólnie przeżyłem... Wiesz dobrze, że pragnę twych ust, pragnę ciebie za cenę choćby reszty życia, a jednak... jednak odmawiasz mi uparcie, twardo i zawsze. Ty zdajesz się nie mieć serca człowieczego w sobie, ale jakiś kamień, jakiś głaz nieużyty...

— O, Sew przestań, przestań, błagam cię, zaklinam na miłość naszą, na szczęście... które przyjdzie; wierz i ufaj, że ono przyjdzie, napewno!...

— Miłość... szczęście, które przyjdzie? Ja już nie wierzę, nie mogę wierzyć. Czekałem przecież dotąd, czekałem, jestem cierpliwy, a gdzież one? Dlaczego nie przybywają?? Ooo!...

Ból tak okrutny złapał mnie za serce, tak szarpnął, że jęk głuchy, długi, przeciągły i stłumiony, jakby nie z mego gardła, ale z czeluści piekielnych wychodził — zgłuszył wszystko i sprowadził zapomnienie i niewiedzę, rzucił zasłonę na me oczy i na mą pamięć.

Jak długo tak trwałem? Co działo się w tym czasie z Niobe i... gdzież ona, co się z nią stało? Rozejrzałem się przytomniej już dokoła i zobaczyłem przy drzwiach jakąś postać ludzką.

— Kto to?

— Ja, Baltazar, ekscelencjo.

— Cóżeś ty taki etykietalny?

— Przychodzę z misji oficjalnej z listem od ekscelencji pana ministra.

— Aaa! Pal cię licho. Połóż list na mojem biurku w gabinecie i zapal światło.

— List pilny, ekscelencjo.

— Przeczytam go później — połóż na biurku.

— Dobrze, ekscelencjo.

— Idź do djabła ze swoją ekscelencją. Zapal światło i siadaj tu przy mnie.

Baltazar odkręcił elektryczność, ale nie usiadł.

— Czemu nie siadasz?

— Nie śmiem... nie wolno mi.

— Rozkazuję ci, rozumiesz!

Woźny usiadł na brzegu krzesła.

— Słuchajno, Baltazarze, lubisz się napić?

Grek oblizał pożądliwie wargi. To wystarczało za słowa, rzekłem więc znowu:

— Pójdziesz ze mną, dobrze? Zaprowadzisz mnie do takiej knajpy, gdzieby nam nikt nie przeszkadzał i tam będziemy pić, dużo pić.

Baltazar poruszył się niespokojnie.

— Nie lękaj się, nie zwarjowałem bynajmniej, a — przed ekscelencją panem ministrem sam cię wytłumaczę. No, podaj mi płaszcz i zobacz w portfelu — leży na biurku w moim gabinecie, czy są tam pieniądze, dużo pieniędzy?

— Słucham, ekscelencjo.

— A bodajżeś się udławił tem słowem!

XXIII

Ach, jakiż człowiek nędzny i mikroskopijny wraz ze swemi troskami i nieszczęściami! Pijcie, przyjaciele!

> Spełnijcie czary, co uwalniać mocne
> od próżnych żalów, próżniejszej obawy.
> Jutro! Gdzież jutro będziemy? Być może
> zgubieni w wieków przepaścistej głębi.

Jaki ten świat cudowny, różowy! Niema na nim żadnych smutków, żadnych bólów ani cierpień — nic z tego, co przykre, ale tylko sama szczęśliwość, wieczna szczęśliwość.

Prawda, Baltazarze? No, czemu nie odpowiadasz? Widzę, żeś pijany, wszyscy jesteście pijani. Wy, Grecy, wyrabiacie dobre wina, ale nie umiecie pić, nie zaprzeczaj, bo to prawda. Tylko Polak ma mocną głowę do wina...

Któż śmie wbrew woli spychać nas pod ziemię, kto śmie nas rzucać, nie pytając kędy?

Wychylmy czaszę — topmy w niej zniewagę tej pogardliwej o nas niepamięci.

Ha, ha, ha! Oto gdzie prawdziwe, bujne i naturalne życie! W knajpie, w takiej podrzędnej, marynarskiej knajpie, której szanujący się obywatel nie odwiedza, ale unika jej, jak ognia piekielnego. A ja jestem przecie szanującym się obywatelem, wielkim, sławnym i bogatym. Gdybym chciał, kupiłbym tę dziurę, sam stanąłbym za ladą i handlował winem i wódką kłócił się z pijanymi gośćmi i wyrzucał ich na łeb, gdyby za bardzo hałasowali.

Jestem szanującym się obywatelem; jestem dżentelmenem, a jednak... a jednak przyszedłem tutaj, do tej obrzydłej dziury, siedzę z moim służącym i topię w winie „pogardliwą niepamięć o mnie", jak powiada poeta.

Cóż kogo obchodzić może co ja robię? Chcę pić, więc piję, a gdzie, jakaż to różnica?

— Hej, gospodarzu, dawaj wina, dużo wina!

> Piekło i niebo przede mną zawarto;
> jam jeno z ziemi, z jej pyłu powstałem
> kacerz obrzydły, nędzarz i kostera,
> bez wiary, szczęścia, modlitwy i nieba.

Strzelają korki, sączy się czerwony, krew winnych gron płyn. Oto ujmuję kielich w dłoń i wylewam w czeluście mojego gardła słodki nektar. Jak dziwnie kręcą się tutaj wszyscy, jak dziwnie tańczą ściany, lustra, jakby zębami psów zgodniałych poobgryzane te obrazy, wstrętne sceny pijackie lub wyuzdane postaci kobiece. Brr!

Trzeba się otrząsnąć, trzeba się ująć w karby. No, Seweczku, chłopcze, dość tych głupot! Powstań i opuść tę norę, opuść ją natychmiast, słyszysz? Ba, ale jak to zrobić, gdy nogi zanic nie chcą dźwigać ciała? Zbuntowały się i ani rusz — dźwigać go nie chcą. A przecież muszę wyjść stąd, by nie zbrudzić się od tego otoczenia.

— Baltazarze!... Baltazarze, pomóż mi już wstać. Chcę już odejść stąd precz i powłóczyć się trochę po pustych już teraz ulicach. Baltazarze!...

Chwytam Greka za ramiona i potrząsam nim, lecz Baltazar nie ma już sił nawet głowy podnieść, tak jest pijany. Więc zdobywam się sam na ogromny, jakże ogromny wysiłek, dźwigam me ciało, które tak uparcie grawituje do ziemi, zataczam się potykam, potrącam o ludzi i obijam o ściany, ale wkońcu trafiam do drzwi, przez nie na ulicę. Szaro tu i ponuro. Jedna mdła, suchotnicza lampka zwisa w beznadziejnym smutku nad drzwiami szynku i zdaje się raczej odstraszać niż zapraszać przechodniów. Czuję się tu daleko lepiej, niż w tej zadymionej i zatrutej wyziewami alkoholicznemi i parowaniem brudnych ciał ludzkich — norze.

Lekki powiew wiatru od morza chłodzi moją rozpaloną głowę. Nie wiem jednak dokąd iść, nie orientuję się wcale, gdzie się znajduję. Ale idę naprzód, przed siebie, może gdzie spotkam jaki wehikuł, jakikolwiek wehikuł.

Nareszcie... Blask świateł zalewa całą szeroką i długą ulicę. Ruch tu panuje jeszcze wielki, ruch wieczorny. Najpierwsze damy ateńskie, obok dziewcząt Koryntu — odbywają tu spacery. Wreszcie oto nadjeżdża taksówka.

— Halo! Wolny?

Auto objeżdża duże koło i zatrzymuje się tuż przy chodniku, na którym stoję. Pakuję się do wnętrza pudła, drzwiczki się zatrzaskują.

— Hotel „Dersailles" — rzucam kierowcy i zasypiam prawie natychmiast.

XXIV

Zbudziłem się pod wpływem ciepłych promieni słonecznych, które zajrzały przez niezasłonięte okno do mojej sypialni i ciepłem swem zbudziły mnie. Musiała już być późna godzina, gdyż słońce zaglądało w moje okna zazwyczaj około południa. Przypomniałem sobie bardzo niejasno wszystko, co działo się wczoraj i list, który przyniósł Baltazar. Nie dzwoniąc na służącego, sam wstałem i podszedłem do biurka w moim gabinecie. List leżał tam istotnie, a więc nie był on złudzeniem.

„Z okazji święta narodowego Rzeczypospolitej Poselstwo urządza raut, na który ma zaszczyt J.W. Pana zaprosić z małżonką".

A pod spodem tego druku dopisano ręką ministra pełnomocnego, a mego przyjaciela:

„Życzeniem mojem najgorętszem byłoby widzieć Pana wraz z Małżonką na raucie. Bardzo również pragnąłbym, by Pan raczył uświetnić, wobec nader wybitnych osobistości ze świata politycznego i autentycznego, owo nasze święto — swoją znakomitą grą, zaczynając ją „Marszem hoplitów" a Szanowna Pani Małżonka swym cudnym śpiewem".

Omal nie wybuchnąłem śmiechem: „szanowna pani małżonka"! Któż to jest nią? Czy Niobe? Jak to niewiele trzeba, aby wprowadzić ludzi w błąd!

Niobe! Teraz dopiero przypomniało się jasno i wyraźnie wszystko i doznałem uczucia wstydu i obrzydzenia do samego siebie. Jaki to jednak człowiek słaby! — myślałem. — Jak kruchą jest istotą. I poco ja tam właściwie poszedłem? Do takiej nory! Brr. Zadzwoniłem. Wszedł służący. Szczęściem nie był to Baltazar. Nie mógłbym teraz spojrzeć mu w oczy.

— Czy pani jest u siebie?

— Właśnie wróciła z przejażdżki.

O, to coś nowego. Niobe zaczyna się usamodzielniać. Nie przypuszczałem nawet, że zdobędzie się sama na taki krok. A zresztą — czemuż nie miałaby użyć przejażdżki, gdy ja — spędzam noce w podejrzanych tawernach marynarskich?

— Zaniesiesz ten list pani i spytasz, czy można będzie do niej przyjść, a potem zrobisz mi wannę.

Służący wyszedł, a ja wyciągnąłem z biurka flaszkę z koniakiem i nalałem sobie kieliszek, tak, dla kurdżu; klin klinem należy wybijać. Potem zapaliłem papierosa i zamyśliłem się. W głowie mojej zawrzało morze myśli, które prawie bez mego udziału zaczęły tłumaczyć się na tony. Myśl, że znowu będę mógł stanąć przed słuchaczami, że znowu poczuję się poetą, twórcą, ptakiem rajskim, triumfatorem, napełniała mnie radością bezbrzeżną i prawie bezprzytomną, bo upajała tak, jak żaden z trunków ziemskich upajać nie może, jak chyba nektar upajał Apolla, gdy w siedmiopromiennej koronie, na srebrnostrunnej lirze grał zachwyconym bogom i ludziom.

I nagle zapragnąłem zagrać, natychmiast, już, nie zwłócząc ani ułamka sekundy, bo myśli moje, tłumaczące się na tony jednoczyły się już do takiego upojenia, że sam nie potrafiłbym powiedzieć, czy mi serce w piersi biło, albo grało.

Porwałem skrzypki, pchnąłem okno, otwierając je naścieżaj i tak jak stałem, w pyjamie, sandałach i szlafroku — zacząłem grać.

Ja grałem i wszystko mi grało na ziemi, niebie, w ludziach snujących się na ulicy, jak motyle wiosenne, oblatywały mnie rojami i, jak orszak za królem, szły za mną wszędzie.

W nutach i melodiach, które sączyły się z pod mego smyczka, oglądałem swoje diamenty, szlifowałem je, rzeźbiłem, ujmowałem w oprawy misterne i rzadkie. Niby z kłębka czarodziejskiego wywijały się z mych melodyj związki i szeregi tonów, a ja je porządkowałem, rozciągałem, ścieśniałem, łączyłem je, wiązałem, aż wytwarzał się z atomów organizm, z chaosu — świat, ten świat osobny, od wszystkiego, co otacza, wyodrębniony, sam w sobie zupełny — którym jest dzieło sztuki.

I tak grałem, grałem, grałem...

Wkońcu wyczerpany i utrudzony nad miarę, upadłem na najbliższy sprzęt jak pijany, albo powracający z dalekiej podróży; w piersi zaś miałem fizyczne uczucie czegoś z niej wyjętego, jakiejś przędzy, wydobytej z płuc, z serca, z nerwów, czy ja wiem? Czułem fizycznie, wyraźnie, że z siebie samego, ze swojej materii i ze swego ducha wyprządłem coś ode mnie wyodrębnionego, że mnie przez to ubyło i że ten ubytek sprawia mi w piersiach próżnię i zmęczenie. Ale trwało to niedługo i kiedy trwało — byłem szczęśliwy. Szczęśliwy i dumny, bo do rozkoszy, którą sprawiało powstawanie i rozwijanie się pod moją dłonią piękna, doświadczeń tej, którą budzi uczucie, że ja to właśnie dzierżę moc wywoływania na świat jego djabłów i układania z nich kombinacji.

I teraz dopiero powstał we mnie jakby żal, że zmarnowałem dwa lata, których nikt i nic nie powróci mi już. Zacząłem się teraz dopiero zastanawiać, dlaczego ja to zrobiłem? Czy dlatego, że syt róż i laurów, chciałem odpocząć i zadrzemać? A jednocześnie przyszło mi na myśl: jaki proces wewnętrzny skłoniłby niedawno jednego z największych w świecie twórców muzycznych do ucieczki z pola chwały na bezludną wyspę Oceanu, a inną, niemniej wielką artystkę dramatyczną popchnął za kraty klasztorne? Co oni myśleli, co czuli, które z najrozpaczliwszych strof Eklezjasty napełniły im głowy, gdy ze stolic, rzucających im do stóp wawrzyny i serca, uciekali pokryjomu jak skazańcy, jedno — by płynąć ku lądom nieznanym, drugie do przystani spokojnej i cichej, jak wieczność? Bezwątpienia, i ja muszę należeć do tego narodu malkontentów, do którego należeli i tamci dwoje, zapewne i ja jestem synem tego rodu, który wiecznie szturmuje do Olimpu, aby wydrzeć mu ogień Jowiszowy, a gdy Jowisz drągiem sosnowym da mu po głowie, chroni się w czeluści skalne, lecz niebawem znowu na świat wyłazi, znowu szturmuje i już, już dotykając upragnionego łupu, spostrzega, że nie wart on był tego bólu głowy, którego nabawił go drąg Jowisza.

Lecz któż żałuje przeszłości i dlaczego? Czyż ona wróci? Jakaż siła zdolna jest tego dokonać? Żadna! Niema takich sił, ani takich mocy. Więc poco zastanawiać się nad tem?

Czemuż to szukać ciągle i bez końca,
czego nie będziem mogli posiąść nigdy?
Czyliż nie lepiej z soczystego grona,
wysączać rozkosz, niż śnić niedościgłe?

XXV

Przykra to zaiste rzecz, gdy w Atenach, stolicy Grecji, trzeba stracić parę dni, nim się odnalezie wzory greckie, według których możnaby uszyć szatę stylową dla kobiety. Nie do wiary to, a jednak prawda.

Chciałem moją Niobe ubrać w takie szaty, jakich żadna z tych wytwornych dam nie będzie tam posiadała. Skoro Niobe jest najpiękniejszą z kobiet, musi być i najpiękniej ubraną. To było moją ambicją. I dopiąłem swego po wielu trudach, kłopotach, zabiegach i dzięki jedynie dużej sumie pieniędzy.

Ciąg dalszy nastąpi.

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

„Chwileczka“ wydłużała się w całą wieczność. Ręka tego człowieka, która potrafiła być twardą i w walkach, i wtedy, gdy zastrzelił adjutanta Barbasana, i gdy rzucał noże na okręcie, teraz drżała. Co z nią, co z Mar-Molli?

Wreszcie usłyszał jej cichy, złamany głos, zdawało się śmiertelnie znużony.

— Zaraz przyjadę do pana.

Ammałat nazwał ulicę i hotel.

— Dobrze, proszę czekać na mnie na dole za kwadrans.

Ammałat zeszedł na dół pod szklany daszek wyjściowych drzwi.

On widział przed sobą fontannę, drzewa w ogrodzie, bawiące się dzieci, gołębie na gęstej zieleni przystrzyżonych klombów i... nic nie widział!

Czekał, wpijał się oczyma w każdą taksówkę, w nadziei, że ujrzy jej profil.

I wcale nie zauważył, jak zatrzymał się samochód, w którym ona była. Zauważył tylko, jak otworzyły się drzwiczki i na stopniu stanęła nóżka w jasnej jedwabnej pończoszce i w czarnym pantofelku.

Pomógł wyjść. Mar-Molli oparła się o jego ramię, słaba od przebytych wstrząsów, blada, z podcienionymi oczyma.

Wetknąwszy szoferowi zmięty banknot, Ammałat, podtrzymując Mar-Molli, która wciąż jeszcze, zdawało się, nie rozumiała gdzie jest i co się z nią dzieje, zaprowadził ją do ogródka i posadził na ławkę. I siedzieli tak milcząc, bez słów, bo czyż słowami można było wypowiedzieć to, co wypełniało ich serca?

Szemrała fontanna. Jak żywe dzwoneczki nawoływały się dzieci. Po trawie chodziły gołębie, kołysząc się na cienkich, niby drucianych, łapkach.

Ręce Mar-Molli i Ammałata złączyły się.

Ona patrzała na niego oczyma, pełnymi zachwytu i prośby. I głaskała jego rękę, jakby jeszcze nie wierząc, że on jest przed nią, którego tak opłakiwała.

Prawie bezdźwięcznie zapytała:

— Gafani?

— Tak... — równie cicho odrzekł Chan.

— Wieczorem, wieczorem opowiesz wszystko, a teraz... Teraz takie szczęście, że braknie sił, że niepokonana słabość opanowuje duszę i ciało, że chce się pozostać w samotności... Odpocznę, uporządkuje swoje myśli, a wieczorem — przyjdę. Odprowadź mnie do taksówki, drogi przyjacielu... Jedyny...

Pomógł jej wstać. Mar-Molli była tak piękna w swej delikatnej bezradności. Całem ciałem oparła się o ramię mężczyzny, swojego mężczyzny, silnego.

Odjechała. Odprowadził ją wzrokiem i wrócił do ogródka, gdzie i fontanna, i dzieci, i gołębie, wszystko było uduchowione, wszystko było teraz takie ważne i święte.

Usiadł na tę samą ławeczkę. Ich ławeczkę...

Pojawienie się Ajaksa przerwało słodką samotność. Gołębie, wystraszone przybyciem nowego człowieka, wyleciały z pod jego nóg ze świszczącym szelestem skrzydeł.

— Portjer powiedział, że pan jest tu. Byłem w meczecie. Rzeczywiście daleko. A meczet bogaty, piękny! Poznałem rezydenta marokańskiego sułtana. Wspaniała postać wschodniego dyplomaty. Jak się okazuje przy meczecie jest kawiarnia i restauracja. Piłem prawdziwą arabską kawę. Maleńkie filiżaneczki, gęsta, pachnąca. Wie pan co? Pojedziemy tam na śniadanie. Na szaszłyk z astrachańskich baranków...

— Astrachańskich? — machinalnie zapytał Ammałat. — Niestety, mam spotkanie z pewnym Francuzem...

— Szkoda! Ale innym razem — koniecznie! Dziś pojadę sam jeden. Dostałem apetyt. Tylko dla pana...

— Ma pan adres?

— Ach, prawda, adres! Naturalnie! Dowiedziałem się od rezydenta, który odnosi się z wielkim szacunkiem do samego imienia pańskiego dziadka...

— Adres?! — domagał się Ammałat.

— Jaki pan niecierpliwy! Mam tu, w portfelu. Rezydent zapisał. Proszę! Paszy. Avenu Raphael. Willa 27. Całą willę zajmuje! — Sam Ajaks przejął się już szacunkiem.

Rozdział z nieoczekiwanem zakończeniem

— Więc jedynie pan wyszedł cało z katastrofy „Perły Francji“?! I o tem jeszcze nikt nie wie!? Przecież pan przejdzie teraz do historji, wasza wysokości! Impresarjo, który obwoziłby pana po całym świecie, zrobiłby miljony! — zapalił się O'Donnel, spożywając w Ermitażu śniadanie z Ammałatem.

O'Donel celowo wybrał tę restaurację, gdzie delikatna kuchnia francuska rywalizowała z rosyjską, wiedząc, że Chan wytęsknił się za wódką, za zimnym majonerem i za rosyjskiemi zakąskami. Nawet maître d'hotel — Serb Petkowicz — był słowianinem. Cały elegancki Paryż go znał.

O'Donnel chciał zasypać Ammałata pytaniami. Ale technicznie to było trudne do wykonania: jako dobrze wychowany człowiek O'Donnel nigdy nie mówił podczas jedzenia. Dlatego też przeżuwając kawałeczek miękkiego jesiotra, czy delikatnej pulardy, on tylko spojrzeniem dawał do zrozumienia, że z niecierpliwością oczekuje odpowiedzi na gotowe już pytania...

— Jaka szkoda, że nie zabrałem ze sobą Benau! Nie wiedziałem, jak pan się do tego odniesie. Wyobrażam sobie, jakby trzeszczała pod nim kanapa, na której siedzimy! U mnie połamał już kilka krzeseł. W ten sposób wyraża się u niego i zachwyt i zdenerwowanie. Zapewniam pana, że on uzupełni nasz film sceną pańskiego rozstrzelania... I tem, jak Barbasan paradował w mundurze marszałka polnego i jak dostał w oczy szampanem... I zresztą tem wszystkiem do cudownego ocalenia włącznie. Jest to coś nowego i fotogenicznego. Ale Gafani, Gafani!... Tak podle, po złodziejsku, nikczemnie zdradzić pana! Pana, z którym spał w jednym namiocie, pana, z którym przy jednym stole dzielił chleb i sól! Teraz, gdy zostałem wtajemniczony, zrozumiałem wszystko! Spekulując na podobieństwie, Gafani postanowił przywłaszczyć sobie spadek. Pan musi się spieszyć...

— Zaraz po śniadaniu jadę do dziadka.

— A jeśli pan tam spotka Gafaniego?

— Jeden z nas nie wyjdzie stamtąd żywym!

— Ani puchu, ani pióra! jak to w Rosji mówią myśliwemu, udającemu się na polowanie. Ale w każdym razie niech pan zadzwoni do mnie. A jeżeli wszystko pójdzie, jak ja myślę, zrobimy tak: jutro wieczorem urządzę u siebie ogólne zebranie dyrekcji i całej trupy. Zaproszę wszystkich na ósmą trzydzieści, a Gafaniego — równo na dziewiątą. Czy może pan sobie wyobrazić, jaki będzie efekt!? Wszyscy siedzą przy stole, pan na widocznem miejscu, i nagle zjawia się nic nie podejrzewający Gafani. Podoba się panu taki kawał?

— Bardzo, panie O'Donnel! Tylko dla zwiększenia efektu, proszę o wyznaczenie jeszcze jednego miejsca przy naszym stole dla kapitana okrętu, który wyratował mnie z wody. To sprawi mu największą przyjemność. Kapitan ma również swoje stare

porachunki z Gafanim. Jeszcze z Szanghaju!...

— Właśnie dlatego, że jesteśmy ludźmi cywilizowanymi, a on jest dzikusem!...

— Racja! Szósty zmysł! A więc czekam na pański telefon. Panie Petkowicz, niech pan będzie uprzejmy, każe nam dać rachunek.

* * *

Ałmaz - Chan czuł się niedobrze. O tyle niedobrze, że nie mógł zejść na dół. W swojej sypialni siedział na krześle, ubrany w czarne futro z kindżałem na pasie.

Wierny Kerim stanął nieruchomo we drzwiach.

— Zjemy obiad tutaj!

Kerim milcząc, skłonił głowę.

— A jego wciąż niema, Ammałata? Zobacz, która godzina?

— Panie mój... Dokładny czas zna tylko Allach. A która jest godzina na twoim zegarku, mój światły władco?

Kerim podszedł do stołu i spojrzał na masywny chronometr z czarnym dwugłowym orłem na kopercie. Dar cara Mikołaja II dla Ałmaz - Chana.

— Równo drugą godzina, mój władco!

— Drugą? Jakim sposobem? Ammałat spóźnił się o całą godzinę? Psuje się wasza młodzież wśród niewiernych. Czy można mnie staremu kazać tak długo czekać?! Słyszysz, zajechała araba! Spojrzał w okno! Ammałat?

Wyjrzawszy oknem, Kerim zobaczył na dole Ammałata, który płacił szoferowi. Stary sługa odrazu zauważył, że „ten" Ammałat jest niższy i zgrabniejszy od wczorajszego. Figura cieńsza, uszy nie odstające, szczelnie przylegają do czaszki.

— On? — zapytał Ałmaz - Chan.

— Tak jest, władco, to on! — odpowiedział Kerim ze zmienioną twarzą, akcentując słowo „to".

Zapomniawszy o swej powolności, Kerim podążył na dzwonek.

O, teraz niema wątpliwości! Nietylko oczyma, ale całą swoją istotą starzec poznał, poczuł Ammałata. Ten sam chód. Lekki, elastyczny, stepowy... A tamten, tamten chodzi jak mieszkaniec wielkich miast.

Kerim padł na kolana i podniósł do ust brzeg marynarki Ammałata. To było wymowniejsze od wszelkich wyznań.

Ammałat nachylił się i pocałował Kerima w czalmę.

— Ten człowiek był?

— Był, panie i bracie mój...

— On was oszukał!

— U wielkiego Ałmaz - Chana przygasł trochę orli wzrok. Ale Kerim, sława Allachowi, wciąż jeszcze dobrze widzi...

Kerim wszedł za Ammałatem do sypialni Ałmaz-Chana.

— Spóźniłeś się! — z wyrzutem spotkał dziadek wnuka. — Wczoraj byłeś punktualniejszy.

— Wielki Ałmaz - Chanie! To nie ja byłem u ciebie wczoraj. U ciebie był łotr, kłamca i oszust, przykrywający się mojem imieniem i podobieństwem do mnie.

— Co? Jak? Kerim! — przeciągając wprzód obie ręce pytał Ałmaz - Chan.

— Tak jest, władco! Wczoraj był kłamca i oszust. Niech go Allach pokarze sprawiedliwym gniewem swoim!

— Więc... więc jakże? — i energicznym ruchem bez niczyjej pomocy, zerwał się Ałmaz-Chan na równe nogi. — I ty, wiedząc o wszystkiem dopuściłeś do tego, by ten podły pies zabrał to, co należy się prawemu spadkobiercy Mugańskiej korony?! Kerim, ty, ty... — i trącąc dech, Ałmaz-Chan wyrwał z pochwy kindżał, chcąc przeciąć sobie gardło...

Ammałat i Kerim chwycili go za ręce.

— Wysłuchaj mnie, władco!

— Milcz! Puście mnie! Nie wart jestem życia! Po takiej hańbie!? Niech ten śmiertelny grzech odbierze mi dary Allacha! Nie śmiem dłużej żyć! Nie odważę się spojrzeć w oczy chłopaczkom i nawet psom. Precz od moich rąk! — z gniewem krzyknął Ałmaz-Chan, który z chorego starca przeistoczył się w groźnego i dostojnego władcę.

— Panie mój... To, coś pomyślał, zawsze zdążysz wykonać. Na to twoja władcza wola. Wiedz tylko jedno: śmiało możesz wszystkim patrzeć w oczy! A przedewszystkim Ammałatowi. Nie bezcenne skarby otrzymał kłamca i oszust, tylko cegły, zawinięte w papier... Cegły, których tak dużo leży w sąsiedztwie, gdzie się dom buduje...

Ałmaz - Chan wypuścił kindżał z ręki, który utkwił w podłodze.

Wolne ręce Ałmaz-Chan podniósł ku niebu:

— Wielki jest Allach!...

— Wielki jest Allach!... — jak echo powtórzyli Ammałat i Kerim.

Prawie rozwiązanie

Nazajutrz rano Gafani, leżąc w łóżku, w niebieskiej jedwabnej pyjamie, pieszczotliwie głaskał łosiową szerść skrzyni ze skarbem. Wciąż jeszcze nie otwierał jej. Poco się spieszyć? Nawet, żeby część skarbu spieniężyć — na to potrzeba czasu. A zwłaszcza teraz, podczas kryzysu, kiedy paryscy jubilerzy i bryljantowa giełda, narzekają jednocześnie na „martwy" sezon, który się w tym roku dla nich już w zimie rozpoczął.

— Nie spieszę się ze sprzedażą kamieni z korony, ani czaszek z perłami, — myślał Gafani. — Tembardziej, że za czaszkę Chana Mugańskiego otrzymałem około dwóch miljonów franków. I zresztą te wszystkie kombinacje trzeba przeprowadzać poza Paryżem i jaknajdalej od niego. Ot, tylko, żeby złamać upór tej księżniczki — nietylkalskiej Mar-Molli, a wówczas — żegnaj kolumno wandomska, ukoronowana małym kapralem w klasycznej todze! Żegnaj!

W tem miejscu telefon przerwał kuszące marzenia.

— Benau przy aparacie...

— Tu — Gafani...

— Z polecenia pana O'Donela.

— Do usług...

— Dziś rano o godzinie dziewiątej wieczorem zechce pan przybyć do mieszkania pana O'Donnela na ogólne zebranie wielkiej wagi.

— Wielkiej?...

— Tak jest! Będzie omawiana handlowa strona ostatniego filmu. Mamy szereg bardzo korzystnych propozycyj. A więc, o 9 godzinie?

— Będę koniecznie.

Wieszając słuchawkę, Gafani pomyślał o Benau: „Ot, nieprzyjemny człowiek!" — i wrócił do swych marzeń w związku z kolosalnym bogactwem, które spadło wprost z nieba. Właśnie: „spadło"! I jak łatwo! Jakże nie nazwać starego Ałmaz-Chana bałwanem i Kerima do towarzystwa?!

— Po tym „królewskim darze" można sobie teraz pozwolić na rozkosz uczciwego życia i do końca swoich dni nie uderzyć palcem o palec... Czy to nie błogosławiona perspektywa?...

Obiad zjadł Gafani u siebie w hotelu. Usiadł do stołu o wpół do ósmej, ażeby zjeść nie spiesząc się i przybyć o oznaczonej porze do O'Donnela.

Obok niego przy stole siedział Turek średnich lat, dobrze wychowany, elegancko ubrany, ale w fezie. Prawdopodobnie ten fez był demonstracją pod adresem republikańskich rządów Kemalia Paszy. Demonstracja była zresztą zupełnie zrozumiała, jeśli wziąć pod uwagę, że Turek był osobistym sekretarzem obalonego Padyszacha, mieszkającego w Nicei.

Zaczęli rozmawiać.

— Spędzą kilka dni w Paryżu, — mówił sekretarz sułtana. — Czytał pan w gazetach? Córka jego wysokości wychodzi za jednego z synów Nassima Gajdarabadzkiego. Nassim jest chyba najbogatszym człowiekiem na świecie. Co się zaś tyczy sułtana, mojego władcy to nowa władza ograbiła go. Córka jego wysokości pozostałaby bez posagu, gdyby nie egipski chediw, który asygnował pół miliona funtów na ten cel. Zostałem odkomenderowany z Nicei do Paryża, ażeby kupić dla księżny — narzeczonej sznur pereł. Ale dotychczas nie znalazłem odpowiedniego. Proponują mi osobne perły dużej wielkości. Nie trafiają się, natomiast, niestety, sznury z dobranych równych pereł... Niestety!

— I na szczęście dla mnie! — dodał Gafani.

— Jak mam to rozumieć? — zdziwił się Turek.

— Bardzo prosto. Moich dobranych równych pereł starczy nie tylko na jeden sznur dla księżny, ale na kilka... Nawet, gdyby ten sznur sięgał do królewskich kolan jej wysokości. Wezmę za tę rzecz, godną córki padyszacha, drobnostkę, albowiem jestem z przekonań monarchistą i współczuję z kalifem wszystkich prawowiernych w jego tragedii.

Człowiek w fezie, jak zaczarowany słuchał Gafaniego.

— Pana uprzejma propozycja wielce mnie zainteresowała. Kiedy można będzie obejrzeć pańskie perły?

— Jutro. Pan będzie uprzejmy zajść do mnie o dziesiątej. Apartament nr. 49. Oto mój bilet.

— Wspaniale. Czy pozwoli pan, że przyprowadzę fachowca?

— Proszę bardzo! To będzie tylko tryumfem moich pereł i moim. A więc — do jutra.

— Do jutra!

Prawo odwetu

Ta mała sala z galerją, do której prowadziły wąskie, strome schody, nie miała ścisłego przeznaczenia. Podczas oficjalnych obiadów, sala ta spełniała funkcje drugiej jadalni. W dniach urzędowych posiedzeń, długi stół przykrywano malinowem suknem, dokoła rozkładano kawałki białego papieru dla członków zebrania, a obok miejsca przewodniczącego stawiano dzwonek.

Na czas zabaw tanecznych stół znikł, a na chórze pojawiła się orkiestra: salonowa francuska, albo skrzypków rumuńskich, albo rosyjska bałałajkowa lub wreszcie murzyński jazz.

Właściwy cel dzisiejszego zebrania, prócz O'Donnela i Benau, był wiadomy tylko Mar-Molli i Maniji.

Do obiadu O'Donnel polecił Donkundzie:

— Przygotuj na wieczór, jak zwykle, stół, krzesła i dzwonek. Rozłóż papier i ołówki. Postaw osobny stolik z mineralną wodą, jak zwykle.

— Tak jest, musze! A na ile osób rozkaże musze postawić krzeseł?

— Jak zawsze... Na 14 osób.

— Czternaście? — zawahał się Donkunda. — A może na 15?

— Dlaczego na 15, skoro powiedziałem na 14! — ostro osadził Donkundę O'Donnel wbrew swej zwykłej miękkości. — Kto jest dyrektorem? Ty czy ja?

— Musze, — dyrektor.

— Więc nie wtrącaj się do moich rozporządzeń. Skąd wlazło do twej głupiej pały piętnaste krzesło? Skąd?

— Donkunda tak powiedziała, ale Donkunda nic nie wie...

— Donkunda czasem więcej wie, aniżeli potrzeba. Więcej, aniżeli my wszyscy wiemy! — pomyślał O'Donnel.

Nagle błysnęła mu w głowie taka myśl: a co będzie, jeśli Donkunda swoim szóstym zmysłem przewidział niecodzienność dzisiejszego zebrania i szykuje jakąś niespodziankę?

Czy nie lepiej będzie wysłać go gdzieś na cały wieczór?

— Słuchaj no, mój przyjacielu, musisz się przewietrzyć. Masz tu 50 franków, zjedz sobie gdzieś obiad, a potem zajrzyj do swojej amerykańskiej warjatki. Ona się bardzo ucieszy.

— Z Amerykanka — wszystko skończone! — kategorycznie oznajmił Donkunda.

— Czemu? — uśmiechnął się O'Donnel.

— Ona obiecał nie kąsać, a wciąż kąsa. Nie trzyma słowa.

— O, to nie dobrze nie dotrzymywać słowa. Wobec tego dam ci jeszcze 50 franków na kino i na kawiarnię. Zrozumiałeś?

* * *

Najwcześniej, jak było zresztą postanowione, przyjechał Ammałat z Ajaksem Pecano. O'Donnel zaprowadził ich natychmiast do swojego gabinetu, lokajowi zaś kazał zapraszać resztę przybywających wprost do sali.

Ujrzawszy długiego Greka w smokinku, O'Donnelowi przypomniał się Donkunda: Masz — piętnasty! O'Donnel zupełnie zapomniał o Greku. Co za dziwny instynkt u tego Senegalczyka! Coś niesamowitego! Wogóle, coś niesamowitego opanowywało nerwy O'Donnela w miarę zbliżania się finału. Dosłownie nazwał to — finałem. Gdyby sam poczas wojny nie zaglądał śmierci tak blisko w oczy, gdyby ludzka krew nie była dlań codziennem widokiem w ciągu kilku lat, gdyby Ammałat-Chan po drodze do Paryża nie wziął dwukrotnie przeszkody, zwanej śmiercią, O'Donnel napewno nie odważyłby się urządzić to „służbowe" zebranie...

A w sali już się wszyscy zebrali i siedzieli na swoich miejscach, gdyż wszedł O'Donnel, a za nim Ammałat z Ajaksem.

Niewtajemniczeni nie zauważyli zmiany Gafaniego na Chana Mugańskiego. Wszyscy członkowie trupy już się otrzaskali z Gafanim i ze zniknięciem Ammałata na zawsze. A w dodatku uwagę wszystkich pochłaniał nowy przybysz, gęsto i jaskrawo „ucharakteryzowany" na wschodni typ. Ten smoking i te długie ręce i nogi! Ogólny wygląd bandyty! Skąd i poco wytrzasnął go O'Donnel?

Sawedza i Gromenia pomyśleli:

— Może nowy akcjonariusz? Teraz różni bywają akcjonariusze!

Wszyscy się zebrali. Wszystkie krzesła zajęte. Ogólne milczenie. Niecierpliwy nastrój wyczekiwania wtajemniczonych udziela się niewtajemniczonym. Ci ostatni, naśladując pierwszych, rysują coś ołówkami na papierze.

Mar-Molli i Manija, blade, z drżącemi palcami nie odgrywają nieruchomych, rozszerzonych ócz od drzwi. Benau się kręci. Krzesło trzeszczy pod nim. Ajaks Pecano bębni palcami po stole. Ammałat, ściskając go za łokieć, szepcze: „spokój, spokój". Nerwowy Włoch Gromenia żuje miękkiemi, fioletowemi wargami. Jego ruchliwa twarz wciąż zmienia wygląd.

Ktoś otwiera drzwi i Gafani, wchodząc, oznajmia z miną zakochanego w sobie pieszczocha:

— Właśnie jestem! Równo dziewiąta. Zaiste przykładna punktualność!

Następnie ogólny ukłon i odpowiedni ruch ręką. Gafani podchodzi do stołu. Pierwsze jego wrażenie: wszystkie miejsca zajęte. Dla niego niema wolnego krzesła. Nie wiedząc jeszcze, jak postąpić, czy obrazić się za taką nieuwagę dla jego osoby, czy obrócić to w żart, Gafani spojrzał po obecnych i... nie mógł już więcej oderwać oczu od Ammałata i Ajaksa. Potrzeba było dwuch, czy trzech sekund, ażeby do jego świadomości doszło, że przed nim siedzi Chan - Mugański. I dopiero w następnej sekundzie on poznał Ajaksa Peçano.

Ciąg dalszy nastąpi.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 29 listopada 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja z Łodzi 10.30 Artyści mediolańskiej „La Scala" 12.03 Koncert rozrywkowy 14.30 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 15.30 „Audycja dla wsi" 16.30 „Za broń" — reportaż historyczny 17.00 Koncert symfoniczny 19.00 „Wyspiański i „Noc Listopadowa" 19.20 Muzyka angielska (płyty) 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Recital skrzypcowy Wiktora Winterfelda 22.00 „Abecadło panieńskie względem wyboru męża" — lekka audycja muzyczna 22.40 Muzyka taneczna (płyty).

Poniedziałek, dnia 30 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Kompozycje Alberta Ketelby'a (płyty) 15.15 Zespół salonowy Pawła Rynasa 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.30 Aria i pieśni w wykonaniu Stani Zawadzkiej (sopran) 17.00 „Powitanie listopada" — odczyt 17.15 Koncert kameralny 17.50 „Skrzydlaci śpiewacy Pomorza" — pogadanka 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Koncert 21.00 „Andrzejki" — audycja literacko-muzyczna 21.30 Piosenki w wykonaniu chóru Zygmunta Wiehlera 22.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P. R. 23.00 Muzyka taneczna (płyty).

Wtorek, dnia 1. grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Zespół Niny Mańskiej 15.15 Kobiece głosy (płyty) 16.30 Kwartet salonowy Rozgłośni Krakowskiej 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona 17.15 Koncert solistów 17.45 „Papier" — monolog Teofila Trzcińskiego 19.00 „Dyskutujmy": „Praca i wczasy" 19.20 „W dniu święta Jugosławii" — przemówienia i koncert 19.40 Zespół Stefana Rachonia 20.00 5 koncert „O.R.M.U.Z.'u" 21.40 „Nieznany poeta" — szkic literacki 21.55 „Herbatka śpiewająca" 23.00 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 2 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka salonowa w wyk. Tria Czerniawskiego 12.40 „Nowoczesne wnętrze" — pogadanka 15.15 Arie operowe (płyty) 16.10 „Zagadki muzyczne" (dla dzieci starszych) 16.30 Pieśni Stanisława Niewiadomskiego 17.00 „Społeczna straż na ziemiach wsch." odczyt 17.15 Recital skrzypcowy Jerzego Szpinalskiego 19.20 „Melodie filmowe" — w wyk. Małej Orkiestry P. R. 20.00 „Chór Eriana śpiewa piosenki" (płyty) 21.00 Koncert chopinowski 21.30 Koncert 22.30 Muzyka taneczna (płyty).

Czwartek, dnia 3 grudnia 1934 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny 12.03 „1000 taktów muzyki" 15.15 Mikołaj Rimskij-Korsaków: „Szeherezada" 16.35 Marsze i pieśni wojskowe 17.00 „Oszczędna i modna pani domu" pogadanka 17.15 Koncert kameralny 17.50 „Dwudziestolecie Chemicznego Instytutu badawczego" — reportaż 18.55 „Pod ziemią" — słuchowisko 19.30 „Tańce, pieśni i melodie polskie" (transmisja z Wiednia) 21.00 „Mądre, biedne bobry" — odczyt 21.15 „Sylwetki kompozytorów polskich" — „Feliks Nowowiejski 22.15 Koncert orkiestry wileńskiej (z Wilna). 23.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 4 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert (z Katowic) 15.15 Cztery rapsodie 16.30 Koncert w wyk. Ork. Tadeusza Seredyńskiego 17.00 „Tam, gdzie Jan III z kowalichą tańcował" — felieton 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 Fragment operowy 20.00 III pogadanka z cyklu „O instrumentach symfonicznych" 20.15 Transmisja z koncertu z Filharmonii Warszawskiej 22.30 „Rzeźnik i poeta" — skecz 22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 5 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 „Śpiewajmy piosenki" 12.03 Koncert rozrywkowy 14.30 „Teatr Wyobraźni: „Idzie św. Mikołaj" — słuchowisko 15.15 Koncert rozrywkowy 16.15 Miniatury muzyczne w wyk. Orkiestry pod dyr. A. Hermana 17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie 19.00 „Żywot niezłomny" 19.40 Koncert wieczorny 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 Koncert Małej Orkiestry i płyty.

HUMOR

Kryzys

— Panie dyrektorze, na widowni jest tylko pięć osób...

Dyrektor teatru: — Nie możemy grać... Niech pan każe zwrócić za bilety.

— Niemożliwe... To wszystko „za kartkami".

Powód do radości

„Gotuję i smażę dla ciebie przez cały dzień! co z tego mam? Nic!"

„Powinnaś się z tego cieszyć. Ja bowiem mam ból żołądka!"

Niemożliwe

— Janku, zbudź się.
— Nie mogę!
— Dlaczego?
— Bo nie śpię.

Goły nie ma niebezpieczeństwa

— Spotkałem Wygrzewalskiego. Żona jego zachrypła i wcale nie może śpiewać!

— To wiesz co? Może ich zaprosimy na kolację jutro wieczorem?

Listy z pogróżkami

— Chciałem się pana poradzić, panie mecenasie: od pewnego czasu otrzymuję ciągle listy z pogróżkami — czy niema na to żadnej rady?

— No wie pan, to jest już poważniejsza sprawa. A czy ma pan podejrzenie, kto może pisać te listy?

— Ależ mam, nietylko podejrzenie, nawet pewność — właściciel składu mebli na raty, któremu jestem winien 200 złotych.

Spryciarz

Dwaj przyjaciele spotykają się na ulicy:

— Im więcej rozmyślam, tym więcej dochodzę do przekonania, że jedynem szczęściem życia jest nadzieja.

— To pożycz mi sto złotych.
— Dlaczego?
— Bo będziesz wiecznie szczęśliwy w nadziei, że ci je oddam.

Poezja i proza

Ona spojrzała na niego swemi wielkiemi, pełnemi łez oczami.

On ujął jej głowę w ręce i długo wpatrywał się w jej oczy... Jej oczy mówiły mu o wszystkiem...

Ona chciała swem spojrzeniem odtworzyć cały bezmiar bólu całą mękę...

On zrozumiał jej ból i pragnienie i patrząc przenikliwie, jakby chciał wydrzeć tajemnicę, rzekł:

— — — — — — — —

— To nic wielkiego, proszę pani, lekkie zapalenie spojówek, coniunctivitis.

Sport dla leniuchów.

— Czy lubisz boks?
— E, nie. To dobre dla leniuchów.
— A to dlaczego?
— No, cały czas leżeć na ziemi...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.